

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 23 (41)

Jerozolima, 1 grudnia 1944 r.

Rok II

X. KAMIL KANTAK

DWA NIEMIECKIE CELE WOJENNE

Kiedy Bismarck toczył swoje wojny w latach 1846-71, czynił to z wyraźnym celem zjednoczenia Niemiec pod przewodnictwem Prus i stworzenia wielkiego państwa militarnego w środku Europy. Osiągnąwszy to, żelazny kanclerz uznał się za nasyczonego. Na tym polegał jego wielki rozum polityczny. Że dążył do określonego celu, zawartego pryncypalnie mniej więcej w ramach równowagi mocarstw. Zarazem jednak położył podwaliny pod dalszy rozwój Niemiec, który, wzięwszy pod uwagę charakter narodu niemieckiego, musiał wywołać dużo straszliwych wojen wieku XX, może wbrew woli, a z pewnością wbrew radom samego Bismarcka.

Dom ten bowiem, jaki sobie zbudował Niemcy, to nie co innego, jak powiększenie Prus, to znaczy olbrzymie koszary. Rozwijając równocześnie przemysł, oparty na miliardach Traktatu Franfurckiego, rozwinęły go przede wszystkim jako wojenny. Dodajmy usposobienie Wilhelma II i ewolucję narodu niemieckiego, o której świadczą takie fakty, że za Bismarcka Reichstag dwukrotnie odrzucał pomnożenie wojska, zaś w roku 1913 uchwalił je większością, składającą się ze stronnictw niby pokojowych, jak centrum (katolicy) i socjaliści, a wojna r. 1914 stała się koniecznym skutkiem wojny z r. 1870-71.

Jednak zarówno tamta wojna, jak i terazniejsza toczą się o inny cel naczelny. Jedna i druga miała dać Niemcom panowanie nad Europą, a przez to i owiadanie światem. I tutaj zachodzi walna różnica pomiędzy geniuszem Bismarcka a mózgami Wilhelma i Hitlera. Cel pierwszego był realny, mógł się urzeczywistnić; cel wieczorszych i dzisiejszych władców Niemiec jest irrealny, nie może być osiągnięty. Hitler nie pojął, że maximum, jakie mógł uzyskać, to Austria, Sudety i Kłajpeda. Prowokując wojnę, nie rozumiał, że ją przegra, bez względu na to, jakiegokolwiek by odnosił początkowo sukcesy. Jeżeli mimo to rzucił wyzwanie światu, to dlatego że emocjonalna strona wzięła u niego górę nad intelektualną; co mówię, nie wzięła, lecz miała zawsze, inaczej Hitler nie byłby Hitlerem.

Naród niemiecki, upojony pierwiastkami zwycięstwa, mógł, zwłaszcza po załamaniu się Francji, ludzić się, że zapanuje nad światem. Atoli już rok temu tylko bardzo gupia dziewczka z BDM*) mogła mniemać, że Fuehrer wygra wojnę. Dzisiaj na oczach narodu niemieckiego padają w gruzy reduty i barbakany *Festung Europa* i Niemcy z przeobrażeniem oczekują jutrzejszej inwazji Rzeszy. Możliwość tedy zadać pytanie: pocóż Niemcy jeszcze prowadzą wojnę? Czemu ją prowadzą? Bo na kapitulację znowu nie pozwalają emocjonalne czynniki narodu niemieckiego, dalej bardzo konkretny interes Hitlera i jego bandy, dla których gra idzie o głowy; co zaś najwięcej, drugi niemiecki cel wojny: interes Rzeszy.

Powiedział tak trafnie J. Bainville: „Wojna na zwycięska może przysporzyć nie tylko terytoria, ale także korzyści przez inteligentną eksploatację zwyciężonych, na czym Niemcy znają się daleko lepiej niż zwycięzcy z roku 1918“. W istocie dokazali oni jeszcze daleko większej sztuki. Chociaż na głowę pobici, zarobili grubo na zeszłej wojnie, obłupiwszy do ostateczności kraje okupowane: Belgię, Polskę i część Francji. Przemysł niemiecki wyszedł nienaruszony, kraj niezniszczony, rolnictwo kwitnące. Tytułem odszkodowań zapłacili Francji i Belgii 10 miliardów marek, co zgola nie odpowiadało sumie zniszczenia, jakie wyrządzili, nieproduktywnych wydatków, jakie spowodowali, i większej zdolności współzawodnictwa, jakie zyskali w stosunku do zniszczonych krajów. Pożytki zaś, jakie ułowili w Ameryce i Anglii, znakomicie przewyższyły to, co zapłacili tytułem odszkodowania.

Oto jest cel drugi wojny, minimalny, rzecz wolno. Jeśli się nie uda maximum: ować nad światem, pozostaje minimum: obłupić kraje, chwilowo podbite i okupowane. Podczas obecnej wojny Niemcy doprowadzają umiejętność grabieży i zniszczenia do najwyższego stopnia, do takiego, że już nie może być prześcignięty. Wskutek tego przedłużanie wojny nawet bez nadziei zwycięstwa przedstawia dla nich najoczywistszy interes, rzecz prosta dopóki się ona nie toczy na terytorium Rzeszy. Kapitulacja automatycznie zakończyłaby grabież.

*) Bund Deutscher Maedchen. Vox populi niemiecka podawała pod literę początkowe słowa tak drastyczne, że nie podobna ich powtórzyć.

Przekonani zaś są, że jak po klęsce r. 1918, tak i teraz znowu potrafią oszukać narody zwycięskie i przynajmniej lwią część łupu zachować na dobre. Tę psychologiczną właściwość niemiecką zauważył już lat temu sto Michelet: „Skoro Niemcom się powiedzie wyprowadzić w pole sąsiada, są zachwyceni i z tegim śmiechem wołają: „To prawda, byliśmy bardzo zręczni, bardzo przebiegli, jesteśmy pełni dowcipu“. Ostatecznie, jutro dadzą na pożarcie Hitlera i jego szajkę, a zarobią na zniszczeniu świata, tak lub inaczej.

Postępowanie swoje wzorują na łupieżczych wyprawach dawnych Germanów poza Ren w głąb Imperium Rzymskiego. Pobici i przepędzeni uciekali, ale unosili ze sobą łup obfity i, stając się wskutek tego coraz silniejsi, ostatecznie jednak zwyciężyli Rzymian, skoro ci nie zdobywali się na ich surowe ukaranie.

Grabież, dokonywana w całej „twierdzy europejskiej“, ma na celu zbagacić Niemców a zubożyć i zniszczyć wszystkich innych. Nawet w razie przegranej wojny znajdą się w korzystniejszym położeniu jako jedyni nie zniszczeni, jako jedyni zbagaceni. Tak było podczas i po zeszłej wojnie. Atoli, co się dzieło podówczas, to tylko zabawka dziecinna wobec tego, co dokazują obecnie. Tym bardziej, tym obficiej powinno się to opłacić.

Zniszczenie to ma trzy aspekty: jest polityczne, gospodarcze i biologiczne. Pod względem politycznym Niemcy szafują najdowolniej granicami poszczególnych krajów i tak samo ich ustrojem. Nie trzymają się żadnej zasady ogólnej. W szczególności depcą nogami zasadę narodowości. Nie dotrzymują też żadnej umowy, nawet takiej, jaką sami podyktowali: rozjem z Francją. Poszarpanie Polski, Jugosławii, Rumunii dowodzi dostatecznie, czym się kierują: jedynie i wyłącznie żądza panowania nad światem i jego wyzyskiem. Warto przypomnieć, że powtarzają manewr „wielkiego“ Frydryka, co wymyślił rozbiór Polski.

Co się tyczy gospodarczego wyzysku, to, jak wiadomo, Niemcy najtańszą obeszli się z Francją. Ale to potraktowanie wygląda w ten sposób, że w ciągu jednego roku tytułem odszkodowania za kosztą okupacji Francja zapłaciła tyle, ile otrzymała od Niemców jako globalną sumę reparacji po r. 1918. Odszkodowanie to zgóry pomyślane było jako narzędzie eksploatacji Francji; nie odpowiada też bynajmniej rzeczywistym wydatkom armii okupacyjnej niemieckiej, lecz budżetowi wojennemu francuskiemu przed wojną. Granice odszkodowania równają się rzeczywistej sile finansowej Francji. Podobnie kwoty wojennego budżetu Niemcy przyjęły za podstawę tych krajów, które potraktowali nie najgorzej jeszcze, jak Czechosłowacja, która płaci 114% swego przedwojennego budżetu. Belgia płaciła 75% całego swego budżetu przedwojennego, Holandia płaci połowę, Dania — pełny budżet, Norwegia — więcej. Do tego trzeba dodać to, co wywożą Niemcy prawem kaduka, tak czynnik urzędowy, jak i prywatni ludzie: kosztowności wszelakie, skarby sztuki, książki i rękopisy, meble, maszyny i t. p. Mówi anegdota, że po tym poznano angielskiego szpiega, przebranego za pruskiego lejtnanta, że sam jeden w pociągu z Paryża do Berlina miał tylko podręczny kuferek; wszyscy prawdziwi Niemcy wieźli ogromne, załadowane toboły.

Cóż dopiero powiedzieć o krajach, potraktowanych źle, jak Polska. Z obszaru Generał-

Gubernatorstwa, wynoszącego nieco więcej niż 1/3 Polski, zubożonego wojną, najazdem Niemców i przymusową emigracją z dzielnic zachodnich, Niemcy wydobywają półtora razy tyle, ile wynosił cały budżet państwa polskiego. 70—80% produkcji tego terenu zabierają na potrzeby Rzeszy i frontu. Z właściwym sobie cynizmem głoszą, że na potrzeby wojny biorą surowce i produkcję wyłącznie z krajów podbitych, nie naruszając zgola własnych zasobów. Jako przykład może służyć eksploatacja lasów. Przeszło 200% naturalnego przyrostu wycieli w Generał-Gubernatorstwie, nie nie obsiewając. Już w r. 1942 tak wyczerpali zasoby, że musieli się dobrać do drzewostanu w b. Galicji Wschodniej. Ale za to się chwala, że w samej Rzeszy ani pnia nie tknęli na potrzeby wojny. Co się tyczy zbiorów rolnych, to w r. 1941 skonfiskowali ich 177% w stosunku do r. 1940, w r. 1942 — już 322%. Na r. 1943 zapowiedzieli jeszcze lepsze wyniki. Z całej zachodniej Polski wypędzili 2 miliony Polaków, pozwalając im zabrać co najwyżej 30 kg rzeczy ze sobą. Dodajmy stały i ciągły rabunek wszystkiego u każdego człowieka. Dodajmy grabież kosztowności i dzieł sztuki po kościołach, muzeach, bibliotekach, zbiorach państwowych, municypalnych i prywatnych. Dodajmy wywożenie maszyn i całych fabryk. Słowem, jest to gospodarka rabunkowa, nie licząca się z niczym i z nikim, a raczej obliczona na to, aby z Polaków zrobić nędzarzy i żebraków.

Dnia 24 lutego 1944 r. zarząd Generał-Gubernatorstwa wydał rozporządzenie ewakuacji wszystkich członków rodzin niemieckich z Rzeszy, zatrudnionych na tym terenie, ich rodzin, dzieci i t. d. Osobom, objętym tym zarządzeniem, przysługuje w zasadzie prawo zabrania ze sobą całego majątku ruchomego, i to w granicach, wydanych specjalnie w tym celu przepisów kolei wschodnich. Wiadomo, że ci Niemcy i ich rodziny tuczyli się przez całe cztery lata okupacji w Polsce, a ich majątek ruchomy jest cały owocem grabieży. Niedawno czytaliśmy, że w letnich miesiącach wyjechało z Polski do Niemiec 1943 pociągów w godzinnych odstęпах, załadowanych wszelkiego rodzaju dobytkiem.

Instynktowna żądza rabunku łączy się tutaj z planowością, tak właściwą niemieckiej psychice. Już dn. 2 września b.r. gen. v. Mannstein wydał poufny rozkaz takiej treści: „Nasze branie łupu powinno być metodyczne i zorganizowane. Trzeba zabierać maximum przedmiotów, przedstawiających przy najmniej- szych rozmiarach jak największą wartość, a więc: drogie kamienie, szlachetne kruszce, przedmioty kultu, książki, bieliznę, znaczki i t. p. Takie zasoby, połączone ze zniszczeniem fabryk i maszyn oraz z terrorem deportacji i naukowo przygotowanym głodowaniem, jakiemu poddamy ludność cywilną, zapewni nam rewanz w przyszłości“.

Mannstein należy do generałów, przeciwnych Hitlerowi.

Obliczono, że to, co Niemcy zagrabili w krajach podbitych, wynosi do lata 1943 r. 50—60 miliardów dolarów, to, co ściągali w pieniądzech pod rozmaitymi tytułami — 45 miliardów.

Trzecia właściwość, czy trzeci stopień — to biologiczny. Znowu tutaj zachodzą różnice: od Francji lub Niderlandów do Polski. Niemcy wyłapują, już się da, na roboty przymusowe

W numerze:

Z prasy podziemnej. Janek pisze. — B. Łączkowski: Listy z Włoch. — A. Bogusławski: Polska a Jugosławia. — S. Zilberman: Włodzimierz Malacki — Jean Malaquais. — Wśród książek. A. Then: Zły człowiek czy zły naród? cep. — Nagi król. — K. Pruszyński: Wspomnienia normandzkie. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — Z prasy obcej. Rozmowa ze Stalinem. — J. Martyka: Kronika filmowa. — T. Zabłocki: Bilans Warszawy. — ww.: Przegląd polityczny. — „Five Years of Poland's Resistance“.

ALEKSANDER JANTA

SPOTKANIE

Szedł od Księcia Adama ulicą paryską, podparty na kosturze, w czamarze wygnańca Mickiewicz, snując w myślach Tadeusza losy, gdy z okna w którymś domu — nieziemskie zjawisko — dobiegły srebrne dźwięki brzmiące drganiem rosy i melodią, co rzewnie wiąże rytmy tańca.

Słuchał chwilę. Że rodak — dałby na to słowo. „Wcale zdolny“. Nazwiska spytać nie omieszką. „W fortepianie u niego smutku sygnaturka, jak w ludowej piosence...“ Wtem potrząsnął głową. „A przecie wiem! To tutaj młody Szopen mieszka“. Uśmiechnął się. „Układa nowego mazurka“.

do Rzeszy. Warunki bytowania tych robotników są rozpaczliwe, śmiertelność wielka, niebezpieczeństwo m. in. podczas bombardowania, groźne. Wiadomo, że rozruchy w Danii rozpoczęły się od chwili ucieczki duńskich robotników z Hamburga. Niemowloników tych jest w Niemczech 10 milionów. Tyłu więc ludzi odebrano pracy w ojczyźnie, o brak ich potomstwa zmniejszono przyrost ludności w krajach okupowanych. Czy na przyszłość którykolwiek z tych ludzi będzie w stanie wydać dzieci, wydaje się wątpliwe wobec warunków, w jakich się znajdują; że liczba urodzin u wszystkich ludów podbitych zmniejszy się na lata całe, chyba nie ma wątpliwości. Obecnie wobec groźnego upadku Rzeszy Niemcy przygotowują wymordowanie tych robotników; już je podobno rozpoczęli. Uważają to za rzecz całkiem naturalną. Od chwili kapitulacji już dla nich pracować nie będą, przeciwnie, zwiększą potencjał pracy u narodów ościennych i u ich przeciwników. Wygubić ich, — oto oczywista kalkulacja. Dochodzą tu milionowe zastępy pomordowanych jako zakładników, na karnych wyprawach, zamęczonych po więzieniach, po obozach koncentracyjnych i t. p. Przy powszechnym rabunku żywności śmiertelność jest większa niż kiedykolwiek, zwłaszcza u dzieci. Brak lekarstw, urządzeń szpitalnych, możliwości leczenia.

W Polsce znowu rzeczy przedstawiają się gorzej niż gdziekolwiek indziej. W samym Majdanku Niemcy wymordowali półtora miliona ludzi, głównie Żydów. W ogóle zabili do czerwca b.r. trzy i pół miliona Polaków, a po dziś dzień ilość ofiar wzrasta chyba do czterech milionów. Nie stwierdzono dotychczas, ilu wyszterylizowali, ale wiem, że np. na Śląsku całe wsie poddali temu zabiegowi. Śmiertelność w Polsce jest większa niż gdziekolwiek indziej. W samej Warszawie, przed powstaniem, miesięcznie 200 ludzi więcej umierało niż się rodziło. Tysiące dzieci wywieziono do Niemiec, aby je wychować na Niemców, tysiące kobiet, na to, aby rodziły Niemców. Atoli najstraszliwszym ich orężem stało się utrzymywanie narodów podbitych w stanie systematycznego i planowego niedożywiania i głodowania, podcinającego siły biologiczne poszczególnych narodów, a głównie Polaków, na daleką metę.

Marszałek Rundstedt, znowu przeciwnik Hitlera, nauczał na konferencjach, jakie miał dla Biura Wojny Gospodarczej: „Całkowite zniweczenie ludów ościennych i ich dobytku jest niezbędne dla naszego zwycięstwa. Jednym z naszych wielkich błędów w r. 1918 było oszczędzanie życia cywilnej ludności krajów nieprzyjacielskich. Nas, Niemców, musi być przynajmniej jeszcze raz tyle, co wszystkich narodów, sąsiadujących z Wielkimi Niemcami. Jesteśmy więc zniwoleni wypieć przynajmniej jedną trzecią mieszkańców wszystkich krajów pogranicznych. Jedyny skuteczny środek to zorganizowane głodowanie. Doceniam kulomiot, ale ma ono górę nad nim, bo przy zabijaniu istnieje pewien kres oraz są pewne niedogodności, a gód zawsze je w skutkach przewyższyć, osobiście u młodości“.

Słowem Niemcy pod każdym względem: gospodarczym, politycznym, biologicznym, dokładają wszelkich wysiłków, aby dokoła kwitnącej Rzeszy stworzyć niewolniczą i wynędzniałą Europę, przeznaczoną na to, aby pracować dla Herrenvolku i ginąć na jego większe powodzenie. W wysokim stopniu im się to już teraz powiodło, i to jest w szerokim znaczeniu łup wojenny niemiecki, cel minimalny, dla którego podjęli wojnę.

Dlaczego z szczególniejszą nienawiścią traktują przy tym Polaków? Składa się na to kilka przyczyn. Jedną z nich, to znana psychologiczna nienawiść złochnicy do jego ofiary. Niemcy mają na sumieniu w średniowieczu zabór ziem zachodnich i północnych Polski, linii Odry i Bałtyku, w XVIII w. — rozbiory, w XIX w. — niegodziwe prześladowania. Psychologiczną przyczynę niewolniczą i wynędzniałą Europę, przeznaczoną na to, aby pracować dla Herrenvolku i ginąć na jego większe powodzenie. W wysokim stopniu im się to już teraz powiodło, i to jest w szerokim znaczeniu łup wojenny niemiecki, cel minimalny, dla którego podjęli wojnę.

wschodnim jeszcze w w. XVIII była słabsza niż w początkach w. XV. Pomiędzy Polską a Niemcami nie ma granic naturalnych. Rozródność niemiecka słabsza jest od polskiej. Wschodnie prowincje Niemiec, jak Prusy Wschodnie, Pomorze, Nowa Marchia, posiadały już w r. 1914 niższe zaludnienie niż ziemie polskie; ludność ich nie dosięgała cyfry 50 osób na km kw. W obawie, żeby stosunek ludnościowy nie przesunął się coraz bardziej na rzecz Polski, Niemcy wydały jej wojnę prewencyjną, i w tej samej obawie postanowili wypędzić Polaków. Wykombinowali całkiem trafnie, że skoro swoimi osadnikami zajmą najpierw zachodnią Polskę zaanektowaną, a ile możliwości potem General-Gubernatorstwo aż po Bug, uzyskają niewzruszoną przewagę w Europie środkowej i trwałe władanie nad pomniejszymi ludami na południe od Karpat. W jedną całość łączy się tutaj instynkt zaborczy niemiecki, odwieczne barbarzyństwo niemieckie i chłodna kalkulacja niemiecka, wywołując zachłanność i wściekłą nienawiść. Na dnie jej spoczywa uczucie, że granica niemiecko-polska to punkt najbardziej niewralgiczny, to klucz, od którego zależą szanse niemieckie na opanowanie Europy, najpierw środkowej, potem całej, na koniec świata.

Rację stanu niemiecką wypowiedział z pełną jasnością Bülow w swoich *Pamiętnikach*: „W żadnych razie Niemcy nie mogą zapomnieć, że Prusy wyrosły dzięki upadkowi Polski. Oczywiście, naszym obowiązkiem narodowym jest nie tylko zachować, ale i powiększyć nasze posiadłości na zachodzie Polski. Żadne sentymenty nie powinny nas powstrzymać, żaden wzgląd na narodowość polską nie powinien paraliżować naszych wysiłków”. Przypominamy, jakimi frenetycznymi okłaskami Reichstag powitał wiosną r. 1939 wypowiedzenie paktu o nieagresji z Polską. Niedawno zmarły arcybiskup Kantuarijski, dr Temple, stwierdził w mowie z dn. 14 stycznia 1943 r.: „O ile wiemy, nikt (w Niemczech) nie protestował przeciw zbrodniom i usiłowanom wypędzenia Polaków”, a my dodamy: nawet żaden biskup katolicki niemiecki. Tak w samych Niemczech. A cóż emigracja anty-hitlerowska? Znany wróg Hitlera, Otto Strasser, w swojej książce *Die deutsche Bartholomäusnacht* ma mu za złe, że zawarł układ o nieagresji z Polską, nie wiedząc, lub udając, że nie wie, iż to zwykłe oszustwo hitlerowskie.

Niemcy lubią swoją zachłanność ubierać w obfitę i zawiłe fałdy wywodów pseudo-filozoficznych. Więc Rauschning ordynarny rozbój niemiecki ochrzcił nazwą filozofii nihilizmu. Jünger czy ktoś inny nazwał morderstwa i grabieże teorią wojny totalnej, a na czoło wysunął rasizm Herrenvolku, zapożyczony czy zaanektowany z blyskotliwej fantazji romantyka francuskiego Gobineau.

Na czym Niemcy opierają nadzieję, że zdołają zachować przynajmniej część łupu, jaki wydarły Europie podczas obecnej wojny? Na tym, co sami nazwaliby naiwnością zwycięzców. Spodziewają się, że potrafią wszudziłiś w Anglii i Ameryce, zaufanie do swoich dodatków wartości, rzekomo niezbędnych w przyszłej odbudowie świata, przeświadczenie, że to tylko drobna grupa hitlerowców ponosi winę, że na naród niemiecki spadły już najokropniejsze nieszczęścia, np. wskutek bombardowania. A przyszłowiec im przykład, że to wszystko przed ćwierć wiekiem powiodło się doskonale podczas likwidacji zeszłej wojny w okresie wersalskim i powsalskim. Już teraz wypracowują sobie rozmaite rodzaje alibi, różne dowody niewinności ogółu narodu niemieckiego, wewnątrz Rzeszy i poza jej granicami.

„Dostarczymy im (zwycięzcom, — powiada memoriał niemiecki) kilku batalionów pracowników, zwrócimy im trochę przedmiotów sztuki i przestarzałych maszyn, a zawsze możemy głosić, że przedmioty zagrabione, jakich będą żądać, zniszczyli sami przez bombardowania. Żadnego dowodu przeciwnego dać nie można. Już teraz należy przygotować spisy kamufażu łupu, zniweczonego przez bomby anglo-amerykańskie”.

Gdyby na miejscu Churchilla i Roosevelta znaleźli się niemieccy mężowie stanu, jak by sobie postąpili, wymierzając karę narodowi, co dwa razy z kolei zapalił Europę, doprowadził ludzkość na skraj przepaści, cywilizację nad otchłani ruin, wymordował miliony, zagrabiał miliardy? Otóż Niemiec unicestwiłby taki naród całkowicie.

Niemcy wymordowali trzy i pół miliona Polaków. W tej samej proporcji pozbawiłby życia 7 milionów Niemców, skoro państwo polskie liczyło 35 milionów, w stosunku do 70 milionów Rzeszy. Niemcy wybili co najmniej 1 milion Jugosłowian. Ponieważ Rzesza liczy 4 do 5 razy tyle ludności co Jugosławia, ubiłby 4—5 milionów Niemców, aby ci tracili w tej samej proporcji. Podobnie postąpiłby wobec innych narodów. Wszystkich Niemców zdolnych do pracy, od młodocianego wieku, zużyłby na roboty przymusowe, dopóki by nie naprawili zburzenia krajów okupowanych, któremu nie kto inny jak Niemcy są winne. Ludzi ponad 50 lat zamknąłby po ghettach, dzieci wychowałby na członków tych narodów, których Niemcy wymordowali. Oczywiście, ogłodziłby ich ze wszystkiego. Szerokie zastosowałby sterylizację. Naród niemiecki, jeśli nie przestałby istnieć w ciągu jednego pokolenia, to zmniejszyłby się do połowy. To byłoby pokój totalny. Czy by to było okrutne, niesprawiedliwe, niehumanitarne? Czy jest rzeczą niesprawiedliwą pozbawić życia wielokrotnego mordercę? Z pewnością mniej niż obie wojny wszechświatowe, jakie Niemcy wydali ludzkości. Bądź co

bądź, Europa wtedy stałaby się naprawdę bezpieczna od trzeciej wojny niemieckiej, odechnęłaby spokojnie. Tak by postąpił Niemiec.

Sądząc wszakże, że także stosując metody mniej niemieckie, można Niemcom odebrać możliwość szkolenia i przygotowania nowej wojny. Potrzeba do tego całego szeregu środków, których nie zamierzamy tu rozpatrywać. Ograniczyć się do jednej strony tego zagadnienia, łupu niemieckiego. Należy Niemcom odebrać to wszystko, co zagrabili podczas jednej i drugiej wojny, zmusić do wynagrodzenia szkód w myśl zasady restytucyjnej: *lucrum cessans et damnum emergens*. Łup niemiecki oszacowano na 100 miliardów dolarów. Prawdopodobnie kwota ta nie obejmuje bynajmniej wszystkiego, np. utrzymywania tysięcy Niemców kosztem i w krajach okupowanych, grabieży prywatnych Niemców. Ani myśleć można o tym, aby Niemcy mogli wypłacić się w gotówce lub ekwiwalentach. Trzeba odebrać w naturze to, co wywieźli; okaże się, że będzie można to uczynić tylko w bardzo drobnym stopniu. Trzeba zatem sięgnąć do dobytku niemieckiego przedwojennego. W zakres odszkodowania winno wchodzić to wszystko, co zabierali: kosztowności wszelakie, dzieła sztuki, biblioteki, archiwalia, muzea, meble, maszyny i warsztaty, lekarstwa, żywność, odzież, bielizna i t. d. Niemcy podniosą krzyk, że się ich doprowadza do żebraczego kija. Będzie to prawdopodobnie kłamstwo. Lecz gdyby nawet tak było, to właśnie będzie słuszne. Niemcy postavili sobie za cel, żeby kraje ościenne wystawić na ostateczną nędzę; niech sami tego doświadczą.

Nie ma fałszywszej zasady, jak to, że bogate i prosperujące Niemcy potrzebne są światu. Rzecz ma się właśnie na odwrót. Jedynie zrujnowane, wynędzniałe przestana być niebezpieczne. Tak było po wojnie 30-letniej,

co wywołała u nich tęsknotę za pokojem i pokojowe usposobienie. Niemcy bogate doskonale prosperowały w r. 1914 i w r. 1939, a podeptały pokój. Zubożenie Niemiec oto zarazem jedyną skuteczną reedukacją. Przeklinać wojnę i cenić pokój dopiero i tylko wtedy się nauczą, gdy się przekonają na własnej skórze, że wojna to żyły interes. Do narodu znieprawionego żaden argument moralny nie przemówi, jedynie materialna niedola. „Empty the larder”, — powiedział lord Vansittart, — trzeba zlikwidować tę olbrzymią melinę, zwąca się Rzeszą.

Czy płonne są nadzieje Niemców na zachowanie łupu? Na osiągnięcie celu minimalnego wojny? Oni sami mają mocną nadzieję, że nie. A utwierdzać ich może to, co słyszmy o sposobie likwidacji wojny ze strony Narodów Zjednoczonych.

Wszyscy mamy w pamięci artykuły *Times*ów i *Economista*, prof. Carra albo Rennera lub Dorothy Thompson. Organ Labour Party, *Daily Herald*, pisze o konieczności prosperujących Niemiec, kongres Trade Unionów rozróżnia między hitlerowcami a dobrymi Niemcami. A jakże brzmiały głosy ludów, ujarzmionych przez Niemcy, tajnej prasy w krajach okupowanych? Dziennik syndykatów norweskich powiada: „Wszelka polityka, dążąca do podziału albo do osłabienia gospodarczego Niemiec, jest niemożliwa. Trzeba je przyjąć do wspólnoty ludów europejskich, przy czym będzie potrzebny okres przejściowy”. Tajne pismo holenderskie powiada: „Dzisiaj siły demokratyczne w Niemczech nie są jeszcze potężne. Narody Zjednoczone powinny im pozwolić się rozwijać, zwalczając równocześnie siły reakcyjne. Należy w tym celu wziąć w o-broty wielkich przemysłowców metalurgicznych, głównie podopry Hitlera”. W dzienniku bejruckim *La Syrie et l'Orient*, w r. 1943

podano rozdział z powieści Romain Rollanda, zamęczonego w obozie koncentracyjnym niemieckim, opisujący nastroje francuskie z r. 1924 wobec Niemców, pełne wielkoduszności i ufności w ich dobroć, uczciwość, demokrację. Ten opis redakcja zaopatrzyła uwagą w piątym roku wojny, że „jest to wyznanie wiary szlachetnej i rozwaznej, około którego mogą się skupić wielkie odłamy jutrzejszej Francji”. Nie brak w tym chórze naiwności i polskiej. W r. 1943 w jednym z pism naszych na Środkowym Wschodzie pewien swoisty statysta ogłosił artykuł, twierdząc, że należy rozparcelować majątki junkrów ostelbiańskich między chłopów niemieckich, i to rozwiąże zagadnienie, co robić z Niemcami po wojnie. Po tej samej linii idzie cała impreza „Wolnych Niemców”, wysuwających program poświęcenia Hitlera i powrotu wojsk niemieckich na granice Rzeszy nienaruszonej, spęczniałej od łupu.

Niemcy to wszystko pojmują w ten sposób, że Hitler ograbił Europę, a „dobrzy Niemcy” zachowują korzyści z grabieży. Taki Niemiec, czytając te dobrodusze wywody, gładzi swój brzusek, spęczniały na chlebie i mięsie polskim, wołając z grubym i wesołym śmiechem: „Die Dummen werden nie alt”. — (Głupcy nigdy się nie skończą!).

Zupełnie ta sama jest podstawa bezkrytycznego idealizmu, wierzącego w człowieczeństwo „demokracji” niemieckiej, jaka się stała nieszczęsną matką Traktatu Wersalskiego. A jak Niemcy wyglądają na prawdę, ich poczcwi kmiotkowie, ich socjalistyczni, międzynarodowi robotnicy? Jeniec francuski wysłany na roboty do chłopów niemieckich, powiada: „Prawie co dzień bili nas chłopci, są to prawdziwe bydłeta”. W dzienniku londyńskim emigrantów niemieckich *Die Zeitung* z wiosny r. ub. podano korespondencję z Rzeszy p. t. „Apathisches Deutschland”. Naród niemiecki na ogół wierzy, że jest Herrenvolkiem i że rasie nordyckiej przysługuje prymat. Inne ludy — taka jest powszechna wiara całego narodu niemieckiego — to ludzie niższej wartości, których zadaniem jest służyć Niemcom. Zwykłym mitem jest opinia o „międzynarodowej solidarności robotników niemieckich”. Dawniejsi socjaliści i komuniści są dzisiaj nazi umiarkowanego pokroju. Opozycję, zasługującą na to miano, ani większego sabotażu nie ma śladu. „Oto prawdziwy obraz demokracji niemieckiej, jak dwie krople wody do siebie, podobny do nastrojów chłopów i robotnika niemieckiego podczas poprzedniej wojny. Czyż trzeba przypominać, że skoro „rewolucja” niemiecka doszła do władzy w tym samym listopadzie r. 1918, w którym błagała zwycięskich aliantów o rozejm, zaczęła organizować ochotników przeciw „niebezpieczeństwu bolskiemu”, wśród których wylążył się hitleryzm?”

Jakże Niemcy nie mają pokładać ufności w dobrodusznym zwycięzcy, kiedy nawet w mowach Roosevelta słyszą zapewnienia, że miasta niemieckie nie mają się czego obawiać, i to w chwili barbarzyńskiego burzenia Warszawy; albo że mało będzie w stosunku do całego narodu niemieckiego tych zbrodniarzy, co poniosą karę za swe zbrodnie podczas wojny? Pamiętają Niemcy dobrze, jak to było z ukaraniem winowajców, tak gromko głoszonym podczas wojny poprzedniej. Gdyby się na teraz nie udało inaczej, gotowi byłiby poświecić Hitlera i jego najbliższych hyclów, acz z ciężkim sercem, obchodząc ich pamięć jako bohaterów i męczenników. Ale że zachowują łup europejski, są pewni. Jak po r. 1918, tak i teraz ułatwi im to przygotowanie do następnej wojny, start wygodniejszy, aby zdobyć panowanie nad światem.

Już w lutym r. 1942 gen. von Stülpnagel, także znany przeciwnik Hitlera, przewidywał, że terazniejsza wojna skończy się niepomyślnie dla Niemiec. W zakończeniu swego memoriału, poświęconego przygotowaniu do trzeciej wojny, powiada:

„Co znaczy chwilowa klęska, jeśli rujnując i niwecząc ludzi i materiały u naszych wrogów i sąsiadów, zyskamy marzę wyższości gospodarczej i demograficznej, większą niż w r. 1939? Jeżeli ją zdobędziemy, wojna będzie pożyteczna, bo będziemy mogli ją podjąć w zakresie militarnym w lepszych warunkach.

Podbój świata wymagać będzie licznych etapów, a rzeczą zasadniczą jest, żebyśmy na końcu każdego etapu posiadali potencjał gospodarczy i mechaniczny większy niż nasi wrogowie.

Nagromadziwszy dzięki łupowi skarb wojenny i zniszczywszy dwa pokolenia żywych ludzi, zburzywszy przemysł sąsiadów a zachowawszy własny, znajdziemy się w lepszej pozycji na lat 25; jest to okres ograniczony terminowo, gdyż tyle czasu będzie potrzebować Rosja na odbudowę tego, cośmy tam zburzyli.

Takim sposobem wojna obecna będzie zwycięska, bo mimo chwilowej przegranej stanie się krokiem naprzód ku naszej potędze.

Nie potrzebujemy się lękać warunków pokoju, podobnych do tych, jakiebyśmy sami nałożyli zwyciężonym, gdyż nasi przeciwnicy zawsze będą podzieleni i niezgodni. Nasi bohaterowie nie zgina na marne, skoro pozostawia Niemcy mniej słabe, a bogatsze niż dzisiejsi zwycięzcy. Nie podobna zdobyć świata w ciągu jednej wojny”.

X. Kamil Kantak

Z prasy podziemnej

JANEK PISZE

Jeszcze strzępią się gdzieś niegdzie na murach i parkanach rozlepiane w ubiegłych latach propagandowe afisze, zachwalające rozkosze pracy Polaków w Rzeszy. Pamiętamy: „Janek pisze”, jak to świetnie zarabia, znakomicie jada i wspaniale mieszka, pracując przy niemieckim warsztacie fabrycznym, czy też na wsi u gospodarza.

Mamy właśnie przed sobą stos listów, pisanych przez naszych Janków i Marysie, Stachów i Zośki, którzy w swoim czasie „dobrowolnie” w wyniku łapani miejskiej albo obławy we wsi pojechali na roboty do Niemiec. Najlepiej chyba uczynimy, otwierając po prostu na wzór afiszy niemieckich cudzysłów, przy czym nie musimy zapewne wyjaśniać, że będzie to autentyczny zaprawny, poprzez który młodzi polscy niewolnicy przemówią sami... Wycinki z listów grupujemy dla porządku też według planu z plakatu, a więc dotyczyć będą kolejno warunków odcygnięcia, mieszkania, ubrania. Dodajemy jeszcze kilka nadprogramowych danych, o których nie wspomina ani piękny barwny plakat, ani dygnitarze z Arbeitsamtów, puszczający się bardzo często na kwiecie przemówienia z racji niezbyt gorliwego dostarczenia kontyngentu ludzkiego na roboty do Niemiec.

„Więc prosicie, żeby napisać, jakie tu mamy życie, więc na rano czarna kawa i powietrze, a na obiad cztery albo pięć kartofli w łupach i do tego pochlipajka, jak woda, a na wieczór to 25 deka chleba i marmolada. Więc jeżeli nie, przysyłcie paczki, to nie wytrzymam długo”.

(Fabryka ceramiczna w Saksonii).

„Dziś nie poszłam do baru na obiad, bo już nie mam siły tyle latać, przyniosła mi Marysia. Mielśmy na obiad brukiew, parę kartofli i buraki cukrowe”.

„Kochani rodzice i jeżeli możecie, przysyłcie trochę skórek ze słoniny i buraków i kartofli, to sobie w niedzielę zrobię pożywny obiad”.

„I bardzo przepraszam, że ciągiem upominam się, żebyście przysłali moją granatową marynarkę, ale tu kupić nie można nic, a ta, w której pojechałem, to cała strzępiata”.

„Przysyłcie w paczce grzebień, bo nie mogę tak wciąż poćzczać, i spinki do włosów. I jeszcze przysyłcie guzików, a pieniądze nie przysyłajcie, bo nie się nie kupi”.

„I już nie wiem, co włożyć na nogi, bo cztery kursy muszę robić z baru do fabryki i z fabryki do baru, bo na obiad to chodzim do baru, a drogi jest 3 kilometry. To jak codzień po błocie przełatać 12 km., to mi się pantofle zdary, a pończoch to już wcale nie mam nawet na niedzielę”.

(Pisane w styczniu).

„W baraku mamy straszne zimno i nie ma czym palić, więc jak przyjdę z fabryki, to nic, tylko płakać z tego ziąbu”.

„Przysyłcie paczkę, i nie oglądajcie się, że jedną już wysłaliście, tylko zaraz zyskujecie drugą, bo z tej brukwi i brukwi boleści mam straszne i wciąż się ze mnie leje”.

„Więc jak teraz zabrali te najmłodszego syna do wojska, tośmy zostali z bałorem (Bauer) tylko we dwóch na całe gospodarstwo. Wstawać muszę o trzeciej po nocy, a ro-

bić trzeba do ósmej, to jak mnie gospodarz budzi, mam piasek w oczach”.

„Przychodzę z fabryki strasznie zmęczony i myślę tylko, aby się położyć, bo budzą już o piątej”.

„Cały dzień dźwigam worki z porcelaną. Nawet chłop miałby za ciężko, a co dopiero ja. Tak schudłam, że nie poznalibyście mnie wcale”.

„Skowronki wciąż latają (list z początku stycznia) i nie dają spać”.

„I ciągle burze przechodzą, ale takie, że gwiazdy świecą nie na niebie, ale na ziemi”.

„Tamtej nocy ze środę na czwartek, jakśmy się położyli we dwudziestu pięciu, to wstało nas tylko trzech, a z dwudziestu dwóch to nawet kawałków nie zostało”. (List z Essen).

„Donoszę szanownym państwu, że Halinka siedzi w więzieniu, bo dostała wyrok za to, że jak jej gospodni powiedziała, że ona jest polska świnią, to Halinka odpowiedziała, że ona jest niemiecka świnią i za tę świnię teraz jest w więzieniu i nie może pisać i prosiła, jak ją zabierali, żebym ja napisał do rodziców”.

„Z bożej łaski już piszę swoją ręką. Taki byłam zbity, że ani ręką, ani nogą nie mogłem ruszyć. Nie udało mi się ta emigracja (ucieczka), jeszcze dobrze, że mnie po biciu w to samo miejsce do baora odesłali, bo jeden chłopak, co jak i ja chciał emigracji, to już żywy nie wrócił”.

Zdaje się, że tych kilka maleńkich świadectw wystarczy, by wiedzieć, że praca ponad ludzkie, zwłaszcza młodociane siły, głód, chłód, choroby, ustawiczne niebezpieczeństwo życia wykuwają nieszczęsną dolę poniewieranego pod każdym względem niewolnika polskiego, który dostał się w nienasycone szpony niemieckie.

Robotnik w Walce, z dn. 2 kwietnia 1944 r.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW

Wydanie drugie
Cena 200 milsów

POEZJA KARPACKA

Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich

Wiersze:

B. Andrzejewskiego, J. Bielatowicza, M. Hemara, A. Jamana, B. Kobrzyńskiego, J. Laszkowskiego, S. Młodocieńca, J. Nalecz, K. Nalecz, T. Sowieckiego. — Pieśń Brygady.

Cena: 200 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

LISTY Z WŁOCH

Do Europy

Ruszamy do Cairo West. Jest jeszcze zupełnie ciemno. Niebo na wschodzie zaczyna lekko różowieć, rozjaśniając pas seledynu, dostatecznie szeroki na to, by na jego tle widzieć wyraźnie sylwetki palm nad brzegami Nilu. Ten ledwo widoczny dom to chyba Poselstwo Tureckie. Na prawo powinien być Ogród Zoologiczny, — ale nic nie widać. Jedziemy coraz prędzej. Baraki, piasek i znów piasek i baraki. Dnieje. Zza pasma pagórków wyglądają ciemne stożki dwóch piramid. Znowuż baraki, piasek, druty kolczaste — jesteśmy.

Ważenie pasażerów, bagażu, i oto za chwilę opuścić mamy Bliski Wschód. Myślę o tym, że mam jechać do Europy, której nie widziałem od trzech przeszło lat... Patrzę na wielki, zielony samolot obok. Czy to ten?

Przelatujemy nad pustynią. Monotonia przerażająca. Po trzech kwadransach lotu docieramy do morza. I tak już przez cały czas: piasek na lewo, błękit morza Śródziemnego na prawo. Kilometrami, godzinami. Huk motoru zniechęca do rozmowy. Czytać też dłużej trudno. Nudno i niewygodnie.

Marble Arch. Mamy się tu zatrzymać. Pora lunchu jest święta! W bok od lotniska, w szeregowej pustyni, marmurowy łuk tryumfalny, — śmieszny i bez sensu na tym bezludziu. Przypominają się komunikaty z czasu kampanii libijskiej: zajęto Marble Arch, — to znaczy zajęto ten oto kawałek pejzażu pustynnego, który właściwie niczym się nie różni od widoku tysiąca kilometrów przedtem, czy tysiąca kilometrów potem.

Dają nam coś zjeść i — lecimy. Każą nakładać pasy ratunkowe, jeszcze w nich goręcej i niewygodniej. Piasek ginie nam z oczu. Zostaje monotonia morza. Wszyscy skreśleni w pozycjach, które tworzyć mają wypadkową jakąś między brakiem miejsca a zmęczeniem.

Po trzech dalszych godzinach widać ląd, — to Malta. Wygląda inaczej zupełnie niż na mapach: jakaś nieforemna. Cała koloru rdzawego, obramiona miejscami szerszymi, białymi brzegami, — to pewno strome zbocza wapienne. Jeszcze parędziesiąt minut i oto ląd. Ziemia czerwona, gęsto zielone drzewa. W Marble Arch powiedziano nam, że noc spędzamy na Sycylii. Na prawo jakiś wielki port, moc okrętów, na lewo teren górzysty. Gdzie Etna? Żyję jestem na geografii, na brak orientacji. Za kwadrans mamy lądować. Widać wreszcie schowaną w chmurach, bielejącą śnieżną Etnę. W dole klasztor, gaje oliwne, poszarpane skały. Ziemia teraz na prawo. Aha, zrobiliśmy łuk nad Sycylią, — lądujemy. To miasto to Katania. Nic nie wiem o Katanii. Pamiętam, w Warszawie sprzedawano pomarańcze „katarskie, malinowe, cztery za złoty...”

Jedziemy do miasta. Tuż obok lotniska rodzaj cmentarzyska samolotów. Góry strzaśkanych części, niektóre ze znakami niemiec-kimi, przypominają walkę o lotnisko. Dawny dworzec lotniczy częściowo zburzony. Stojące ściany pokryte sadzą pożarów. Widać aforyzmy Mussoliniego. Jeden szczególnie widoczny: „Credere, obbedire, combattere”. Na tle ruin słowa te nie wyglądają już śmiesznie czy napuszenie. Ow kawał muru z napisem to jakiś zapomniany rekwizyt dekoracji teatralnej. Sztuka grana okazała się tragedia.

Uprzątniam sobie, że jestem wreszcie w Europie, i jakiś przykry chłód wieje na mnie z tych spalonych domów, z owego uwidocznionego na ścianach zakłamania. W miarę zbliżania się do środka miasta mniej domów zniszczonych. Jest smutnym przywilejem biedaków, mieszkających na przedmieściach, że w walkach o miasta przede wszystkim ich domy są niszczone.

Barokowy łuk tryumfalny, chyba jeszcze z czasów panowania hiszpańskiego. Nie wiem, dlaczego, sama myśl stawiania łuków tryumfalnych wydaje mi się śmieszna. Kogo to w sto lat później obchodzi? Jest widomy dysonans między łukiem, zwiastującym zwycięstwo, a ogólnym obrazem niedoli i klęski naokoło.

Nie mogę jakoś zmieścić swej egzaltacji w tych ciemnych i smutnych ulicach miasta. Mój sąsiad, dowódca pułku któregoś Radży, pyta się mnie nagle, zdjęty wątpliwościami, czy to jest Sycylia, — a mnie ogarnia niepokój, czy to jest Europa i czy w ogóle jeszcze istnieje Europa.

Oficerski Transit Camp mieści się w jednym z zarekwirowanych hoteli. Dostają pokój bez światła, ale jestem sam. Kolacja z puszki i cały długi wieczór wolny. Światło stearynowej świeczki nie jest najgorsze. Trzeba jednak niedopałek zachować na jutrzejsze poranne wstawanie. Hotel pachnie kwaśnym kurzem, a zresztą Europa, którą mógłbym widzieć przez szybę luficy, tonie w ciemnościach. Cicho jest jakoś i smętnie. Wyda mi się, że wracam do Europy od oficyny, przez długi korytarz, jak ten, który prowadzi do mego pokoju w hotelu: ciemny i zakurzony. Nie wiem jeszcze, co jest na końcu tego korytarza.

Neapol

Przed hotelem „Terminus“ gra katarynka. Jedna z tych wielkich katarynek neapo-

likańskich, rodzaj pianoli na kółkach. U drzwi hotelu stoi na warcie amerykański żołnierz w nowiutkim mundurze, pięknych, żółtych bucikach. Spod hełmu czerwienieje i błyszczący dobrobytem młoda, uśmiechnięta twarz. Rusza lekko nogą w takt melodii „Lily Marlene”. Jest to sentymentalna piosenka niemiecka, której melodię „zdobyła” 8-a armia brytyjska na Afrikę Korps. Tak więc neapolitański kataryniarz nie potrzebował zmieniać repertuaru.

Wyboistą ulicą, pełną kałuż, mijają szybko hotel cywilni przechodnie: wychudłe dziewczyny, szczerzące beczelnie zęby do amerykańskich oficerów, jakiś ksiądz, wyglądający jak własna maska pośmiertna, ciemno, biednie ubrani panowie.

Śródkiem ulicy pędzą jak oszalałe jeep'y i samochody ciężarowe, wiozące żołnierzy i oficerów wojsk sprzymierzonych. Czasem między sznur samochodów wojskowych zabłąka się jakiś mały, cywilny Fiat, albo Lanci. Czasem z któregoś samochodu, należącego do władz włoskich, wysiada wyższy oficer wojsk królewskich, w mundurze, którego krój i dekoracje jaskrawo odbijają od nowoczesnej rzeczywistości mundurów wojsk sprzymierzonych.

Część sklepów jest już otwarta. Tandetne wyroby włókiennicze, imitacja skóry i przede wszystkim wyroby miejscowe, pamiątki z Neapolu: sztyldkrety i kamee. W wielu sklepach wystawione są na sprzedaż włoskie odznaczenia: krzyże i medale, a także dekoracyjne szpady milicji faszystowskiej. Właśnie idzie dwóch marynarzy brytyjskich, każdy z nich niesie po takiej szpadzie. Kosztują tyle co puszka mleka skondensowanego na czarnym rynku.

W Neapolu wstaje się z początkiem dnia i chodzą się spać o wczesnych godzinach. Tramwaje kursują tylko parę godzin w ciągu dnia. Sklepy zamykają się o piątej po południu. Kolację je się między wpół do szóstej a siódmą wieczorem. Od 8 ruc w mieście zaczyna zamierać. Ulice są nieoświetlone. Na głównych arteriach jasne latarnie wojskowych samochodów umożliwiają wygodne chodzenie.

W hotelu „Terminus“ włoscy muzycanci grają walce wiedeńskie amerykańskim oficerom.

Salvatore

Salvatore jest robotnikiem chemicznym. Pracował jeszcze półtora roku temu w fabryce pod Neapolem. Fabryka została zbombardowana. Salvatore został bez pracy. Pomaga swemu teściowi, który ma mały bar w dzielnicy portowej. W dzielnicy tej są trzy kategorie domów: zniszczone zupełnie, nawpół zniszczone i częściowo zniszczone. Te częściowo

zniszczone też są w większości wypadków niezamieszkalne.

Tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy ludzi znalazło się bez dachu nad głową, gdy huragan nalołów przeszedł nad Neapolem. W domach częściowo zniszczonych okna zastąpiono deskami, mury podparto belkami czy specjalnymi konstrukcjami cementowymi. I tak się mieszka.

Na trotuarach sprzedają gorące kasztany, mizernie wyglądające pomidory, jabłka i małe rybki. Do baru teścia Salvatore zagląda często ochotnicy z batalionu pracy, którego komenda mieści się w pobliżu. Czasem przychodzą też robotnicy portowi. Inni mieszkańcy tej dzielnicy nie mają za co pić wina.

Salvatore zadowolony jest z tego, że premier, signor Bonomi, zapowiedział w ogłoszonym właśnie wywiadzie z korespondentem Reutersa, że będzie dbał specjalnie o poprawę stanu wyżywienia, — lecz oto racja tygodniowa papierosów została zmniejszona. Czy uda się poprawić stan wyżywienia przed zimą?

Salvatore ma przyjaciela, który dobrze zarabia. Przyjaciół ów jest komunistą. Namawia Salvatore, by też przystąpił do partii. Salvatore ma dwoje dzieci, trzecie jest właśnie w drodze. Chciałby znów zacząć lepiej zarabiać. Ale nie chce mieszać się do polityki. Trzymał się tyle lat zdala od faszyzmu. Signor Bonomi nie mówi o tym, czy odbudują przemysł. Salvatore jest wykwalifikowanym robotnikiem. Chce pracować, a nie politykować. Pytam się go, w jaki sposób „amico” komunistą dobrze zarabia. Robi jakiś nieokreślony ruch ręką. Nagle się uśmiecha. Mówi mi, że ukazało się właśnie rozporządzenie, nakazujące zniesienie wszystkich napisów faszystowskich. „Ach, ci faszysty, ci faszysty!”

Premier Bonomi mówił także w swym wywiadzie o przeludnieniu Włoch, o dużym przyroście ludności, o konieczności otwarcia dróg dla emigracji. Salvatore wie o tym, że w Stanach Zjednoczonych było do czasu wojny duże bezrobocie, a więc nie pozwolą na emigrację. Podobno do Brazylii będzie można jechać, szukać zajęcia. Ale Salvatore ma rodzinę, no i kocha swój Neapol. Chciałby tu znaleźć pracę. Jak będzie silniejszy, zgłosi się na robotnika w porcie. Płacą około 80 lirów dziennie i, co najważniejsze, dobrze karmią.

Na ulicy kilku chłopców rzuca się na niedopałek papierosa. By dojść do centrum miasta trzeba przejść przez zaułki, pełne gruzów i rozmołotą ziemi. Deszcz zaczyna padać. A oto znów złote myśli Mussoliniego: „Il segreto della grandezza...” Resztę zniszczyła bomba. Już nie dowiemy się tajemnicy wielkości, tak jak ją pojmował faszystowski dyktator.

Markiza

Markiza jest niezdrowa. Przyjmuje mnie jej córka, której przywożę pozdrowienia z Bliskiego Wschodu. Rozmawia ostrożnie. Pyta się, kiedy skończy się wojna. Mówi o tym, jak to było w Neapolu. Widać wspomnienia dni strachu sprzed roku przeszło są jeszcze bardzo silne i świeże. Kiedyż to się skończy? Niedawno dom siostry jej został wysadzony w powietrze. Od tego czasu matka nie może przyjść do siebie.

Kogo tu w Neapolu nie widziano! Prawdziwe miejsce wędrowek ludów zbrojnych. „Ach, ci Amerykanie!” Zaprościł ją poprzedniego dnia pewien pułkownik amerykański, który wykłada w Stanach Zjednoczonych kulturę europejską na uniwersytecie. Tłumaczył jej cały wieczór, że stanowi najwyższy wykwit tej kultury.

To brzmi jakoś smętnie: wykłady o kulturze europejskiej. Trochę w czasie przeszłym. Nie darmo też markiza martwi się o Europę: „Biedna Europa”. A Włochy? „Nad Włochami, tak jak nad Francją, wisi groźba wojny domowej”. „Życie tak bardzo się zmieniło, a co będzie dalej?”. „Tymczasem myślimy o rozpoczynającej się zimie, o tym, by mieć co jeść i czym się ogrzać w te paskudne, zimne dni”.

W pokoju, w którym jesteśmy, jest pełno antyków. Tak, to dobre miejsce do studiowania europejskiej kultury.

Korzystam z przerwy między dwiema ulewami, by dotrzeć do hotelu. Myślę o szpadach, sprzedawanych na pamiątkę, o nucie zduszenia w głosie młodej markizy. Może na tle klęsk i upokorzenia narodowego wytworzył się rodzaj kompleksu upośledzenia czy pognebienia?

Pytam się o ten kompleks jednego z wyższych oficerów amerykańskich. „Tak jest, oczywiście, ale co robić? Władze amerykańskie czynią wszystko, by mu przeciwdziałać. Odbudowuje się zniszczone pomniki sztuki. Rząd włoski został uznany zaledwie we dwa dni później niż rząd de Gaulle'a, reprezentujący Francję, kraj sprzymierzony. Włosi powinni przecież zrozumieć. Przecież, u licha, przegrali wojnę! Byli po przeciwnej stronie”.

W Neapolu zawsze było dużo biedy. Faszystowska milicja pędziła lazzaronów, którzy śpiewali i zebrali na via Partenope, w okolicach hoteli bogatych turystów.

„Powinni zrozumieć”. Tymczasem jednak jest często głodno i chłodno, no i są ci dobrze odżywieni Amerykanie. Jeden z dobrych obserwatorów, Włoch, mówi mi, że tutaj odwrotnie do francuskiego przysłowia: „Les presents ont toujours tort”. W uszach dźwięczy mi dowcip. Włosi byli przecieżwo Mussoliniemu, o którym mówili, że jest „Il Buffone”, nie cierpieli Hitlera, którego nazywali „Baffetti” (wąsiki), teraz część ich ma nadzieję, że dobrobyt wróci do nich, gdy zapiekują się nimi „Baffone” (wąsy). Mianem tym określają marszałka Józefa Stalina.

Biancha

Dziewczyna usługująca w Snack's Barze na lotnisku, Biancha, też kocha Neapol. Podaje przyjezdnym duże sanwicze z białego chleba i kawę z mlekiem skondensowanym. Sama je dobrze i dostaje od oficerów czy żołnierzy papierosy. Jest teraz głową rodziny. Matka zarabia praniem, ale nie wystarczałoby na wyżywienie rodziny. W domu jest jeszcze czworo rodzeństwa. Ojciec i dwoje rodzeństwa zostali zabici przez bombę lotniczą. Mieszkali blisko morza, ojciec był rybakiem.

Biancha nie mówi o tym, z jakiego samolotu była bomba. Nie chce o tym myśleć. Oficerowie i żołnierze, którzy przychodzą do Snack's Baru, są tacy mili i grzeczni i życie jest piękne. Koleżanka jej kocha się w sierżancie amerykańskim. Właśnie biegnie do okna. Słychać warkot motoru. Może to on leci.

Autobus lotniska zatrzymuje się na Via Roma, handlowej ulicy miasta. Było tu widać mniej domów zniszczonych, niż na przykład na Corso Umberto, w okolicach dworca, gdzie w prymitywnie odbudowanych izbach lokują się pierwsze sklepy. Na Via Roma sklepy są pełniejsze, bogatsze.

W restauracji EFI żołnierze armii sprzymierzonych korzystają mogą z wszelkiego komfortu. Mogą się wykąpać, dać bieliznę do prania, wyprasować spodnie, przeczytać gazetę w wygodnym fotelu, no i zjeść przy dźwiękach muzyki.

Neapol pozostał miastem muzyki. Teatr San Carlo daje swe przedstawienia przy wypełnionej po brzegi sali. Oficerowie i żołnierze wszystkich armii i stopni słuchać mogą dobrej, włoskiej opery.

Pod murem skrzypek uliczny ręką, przyzwyczajoną do grania „O sole mio”, zawodzi rozlewnie „Tipperary”.

W restauracji żołnierskiej muzyka rozpoczyna co wieczór swój koncert nieśmiertelnym „Wróć do Sorrento”:

„Nie porzucaj mnie,
Kraję szczęścia świętą,
Wróć do Sorrento !...”

Czy ta piękna ziemia neapolitańska będzie kiedyś znowuż „krajem szczęścia świętą”?

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”

ukazały się następujące książki :

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II.

Stron 330

Cena 400 milsów.

WŁADYSŁAW CHOMA

TOBRUK — GAZAŁA

Str. 112 + 2 mapy + 4 zdjęcia

Cena 180 milsów.

(a NIE jak błędnie podano w poprzednim numerze: 250 milsów)

ROMAN FAJANS

WŁOCHY — 1944

Str. 132 + 1 mapa + 5 zdjęć.

Cena 200 milsów.

W D R U K U :

TEODOR PARNICKI

SREBRNE ORŁY

T. II.

ST. PLESZCZYŃSKI — T. SOWICKI

GARDEN PARTY

Sztuka w czterech aktach

BOLESŁAW PRUS

L A L K A

T. III. — IV.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

P O L S K A A J U G O S Ł A W I A

Nauka jugosłowiańska wyprowadza swój lud z pólnocy, ze starych siedzib słowiańskich, położonych na obu stokach Karpat. Znajduje na to argumenty etniczne i filologiczne. Trudno dziś twierdzić coś kategorięcznie, kiedy równina pannońska uległa najazdowi Madziarów i kiedy nie podobna odnaleźć śladów tej słowiańskiej wędrówki z pólnocy na południe, aż na słoneczne wybrzeża Jadranu (Adriatyku). Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że miano Chorwatów, jednej z gałęzi Jugosłowian, wywodzi się od Karpat. Nasza historia krainy na północ od Karpat nazywa Chrobacją, Białą i Czerwoną. Jest wyraźne pokrewieństwo między naszymi Krukami i Krakowem, a wyspą Krk na Jadranie, gdzie dotąd taniec ludowy jest prawie że analogiczny z krakowiakiem. Mnóstwo rzek jugosłowiańskich ma te same nazwy, co nasze lub łżyckie rzeki*). Łatwo więc zgodzić się wbrew teoriiom niemieckim, na to, że Serbowie i Chorwaci, którzy w VI wieku zesłali od Karpat ku Dunajowi, na początku VII wieku obsadzili kresy Imperium Wschodniego, między XII a XIV wiekiem mieli swoje królestwa i wreszcie wydali Stefana Duszana, „cesarza Serbów i Greków“, — są naszymi rodzonymi braćmi z pochodzenia. Klęska na Polu Kosowym (1389) sprawiła, że większość ich dostała się na długie stulecia w ciężką niewolę turecką, co przyspieszyło naturalny rozwój narodowy i musiało stanąć na przeszkodzie w utrzymywaniu stosunków z nami. Jednakże stosunki te istniały, i nie od rzeczy będzie je przypomnieć.

Matkę królowej Jadwigi, żonę króla Ludwika Węgierskiego i następcę Kazimierza Wielkiego, Jugosłowianie uważają za swoją księżniczkę. Jeżeli to może podlegać wątpliwościom, to rzeczka niewątpliwą jest, że jedna z żon Władysława Jagiełły była hrabianką cylijską, a więc słoweńską, czyli należącą do trzeciej gałęzi Jugosłowian. Tak to wyglądało w skojarzeniach dynastycznych. Władysław Opolczyk, namiestnik króla Ludwika w Polsce, pierwszy sprowadził Raców serbskich, którzy stanowili jego straż przyboczną. Kiedy studiować epos jugosłowiański, spotyka się ciągle skrzydlatych rycerzy, skrzydlate konie, zdobne pióra wólczy i tarcze — słowem to wszystko, co było cechą zdobnictwa rycerskiego na Wschodzie, a może rycerską symboliką. Od razu widzimy, że przypomina to późniejszych husarzy. Rzeczywiście, husaria wywodzi się od Raców. W dokumentach wojkowych spotykamy ją dopiero w pierwszych latach XVI w., ale to jeszcze jeden dowód, że jej serbski prototyp musiał być w Polsce wcześniej.

W wojnach naszych z Turkami spotykamy Serbów w szeregach Islamu, bądź jako podniewolną „raję“ (nazwa pogardliwa, dawana przez Turków chrześcijańskim poddałym), — wólców, pacholców, służbę obozową, bądź jako poturczenców, — begów bośniackich i hercegowińskich. Po Kosowie część Serbów, należących do herezji bogomilskiej (odgałęzienie herezji katarów), przyjęła muzułmanizm, nie wyrzekając się jednak ani języka, ani nawet obyczajów. Była ona bardzo twarda dla chrześcijańskich pobratymców. Ci begowie walczyli z nami fanatycznie, natomiast nieraz czyta się o słowiańskich zbiegach z obozu tureckiego, albo o pomocy, jakiej nasi jeńcy doznawali od ludności słowiańskiej, chociaż groziło jej to ciężkimi karami.

Zacięte, nieraz szczęśliwe walki Polaków z Turkami znajdowały żywe echo u Jugosłowian. Jest to bardzo zrozumiałe. W XVII stuleciu patrycjusz dubrownicki, Ivan Gundulić, napisał wielki poemat „Osman“ (20 pieśni, 12 tysięcy wierszy), poświęcony zwycięstwu Chodkiewicza nad Turkami pod Chocimem, a dedykowany królewiczowi polskiemu Władysławowi, późniejszemu Władysławowi IV. Jest tam gloryfikacja śmierci króla Korkiego w Stambule. Poemat ten, w przekładzie włoskim, sprowadził pierwszy do Polski król Stanisław August do swojej biblioteki. Brakło w nim wtedy dwóch pieśni, które podobno zniszczyła cenzura dubrownicka, licząc się z potęgą Wielkiej Porty. Pieśni te odtworzył — doprawdy kongenialnie — w wieku XIX Ivan Mažuranić, ban Chorwacji i znakomity poeta. Pierwszego przekładu na język polski usiłował dokonać Karol Brzozowski, ale rękopis uległ zniszczeniu. Obecnie istnieje świetny przekład Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego, wydany przez „Bibliotekę Jugosłowiańską“ w ostatnim dziesięcioleciu.

Innym w tym czasie łącznikiem między Polską a Jugosławią był Juraj Križanić, szlachcic i ksiądz chorwacki, autor projektu utworzenia języka międzysłowiańskiego. Wychowanie instytutu papieskiego Propagandy Wiary, dostał się, wbrew woli swoich władz duchownych, przez Wiedeń do Polski, z Polski — do Moskwy, i tam, zatrudniony początkowo w służbie dyplomatycznej carów, napisał swoją gramatykę słowiańską, opartą na językach chorwackim, polskim i ruskim (białoruskim). Wskutek jednak jakichś intryg został zesłany daleko na wschód carsstwa, gdzie przeżył całe lat dziesięć. Udało mu się wreszcie zbiec do Wilna, skąd czynił starania o amnestię Rzymu i powrót do Chorwacji. Nie doczekał się tego, wziął udział w wyprawie Jana III pod Wiedeń i tam poległ jako kapelan wojska

polskiego. Żywot tego prekursora panslawizmu był przedmiotem studiów uczonych rosyjskich i czeskich; ostatnio interesował się Križanićem świetny pisarz chorwacki, Mirosław Krleža, który dla badań nad nim spędził czas jakiś w Warszawie i Wilnie.

Początek wieku XIX przyniósł Jugosłowianom krótkotrwałe królestwo Iliryskie Napoleona I, zaś pod panowaniem tureckim, po powstaniu 1796-98, — autonomię. Uwidocznili się prąd dośrodkowy, z marzeniami o zjednoczeniu. Mocną jego podstawą było zbieranie pieśni ludowych przez Vuka Karadžića i ustalenie pisowni fonetycznej, zarówno w używanej przez Serbów cyrylicy, jak i w łacynicy, którą piszą Chorwaci. Patriotyczny „ruch iliryski“, którego najwybitniejszą postacią był Ljudevit Gaj, rozwinął szeroko literaturę. Romantycy interesowali się nią żywo (Prosper Mérimée, Goethe, Puszkina, Mickiewicz). W swych wykładach o literaturach słowiańskich w Collège de France Mickiewicz szeroko omawiał ludowe pieśni jugosłowiańskie. Innym pisarzem, który wprowadził Jugosłowian do literatury polskiej, był w drugiej połowie XIX wieku Teodor Tomasz Jeż (Miłkowski); najlepszą jego powieścią na ten temat są „Uskoki“, w których opisyuje życie ludności t. zw. Pogranicza Wojskowego, utrzymywanego przez Austrię przeciw potęgze otomanskiej — coś w rodzaju jugosłowiańskiej kozaczyzny, utworzonej ze zbiegów spod panowania tureckiego.

Jugosłowianie ze swojej strony też interesowali się Polską. Podczas powstania węgierskiego w r. 1846, zanim jeszcze Madziarzy przez swą nieustępliwość nie zrazili do siebie Chorwatów i innych ludów korony św. Szczepana, był projekt utworzenia legionu chorwackiego pod wodzą Bema. Czynnym wówczas Mažuranić, o którym wspomnieliśmy wyżej, autor arcydzieła poezji jugosłowiańskiej, poematu „Śmierć Smal-agi Cengića“, tak oto pisze o Polsce:

„...Rzućcie okiem i na krwawiącą Polskę i patrzcie, jak ona, beznadziejna męczennica, przy każdym brzasku wolności w Europie potrzęsa swymi więzami; jak w każdym jej szczytku, na podobieństwo rozbitego zwierciadła, wszelki świt jaśniejszy dla Europy dni odbija się niebiańskim słońcem wolności, jak wciąż jest żywa, nawet w grobie, jak jej trzy, żłami ciężarne dzielnice, trzy krwawe członki olbrzymiego jej ciała, lgną bez przestanku ku sobie, bez przestanku jeden ku drugiemu pełną, jak

gdyby trzy i w trzech straszliwych ciemnicach miłujące się siostry, stalowym ogniem wspólnej miłości na przekór muirom, na przekór krwawemu gwałtowi nierozłącznie zjednoczone. Ale otrzyj łzy, nieszczęsną ciemnicę ofiary, ty, która żywcem jesteś pogrzebiona, bo oto następuje i dla ciebie święta chwila wskrzeszenia!...“

Wymowne te, w emfaticznym stylu epoki wypowiedziane słowa świadczą o autorytecie moralnym, jaki swoją nieprzerwaną walką o wolność Polska sobie u Jugosłowian zyskała. Gdy więc gromada Polaków osiadła na roli koło Banja Luki, tworząc kolonię, równieśnią mniej więcej Adamopolowi, przyjęta została serdecznie. Nie najgorzej również układał się stosunek między Polakami, którzy przybyli do Bośni i Hercegowiny po ich okupacji przez Austrię, jako austriacy urzędnicy, a ludnością miejscową; wiadano, że nie są Niemcami, i ceniono łatwość porozumienia się z nimi. Z drugiej strony prześliczny kraj, jakim jest Jugosławia, jego sympatyczna ludność i znakomity klimat nie mogły nie przyciągać do siebie Polaków. Dopiero później nieco różne nietakty austriackie, może celowe, a potem, w zjednoczonej Jugosławii, ostro nacjonalistyczna polityka serbska, stosująca się do panującej w ościennych mocarstwach mody, podobno trochę stosunek ten nadwyrężyły. Nie można jednak spotkać wychowanego w Jugosławii Polaka, który by bez wzruszenia nie wspominał pięknego kraju swego dzieciństwa.

W ostatnim dwudziestolecu niepodległości obu państw stosunki dyplomatyczne, wyznaczanie na placówki poselskie i konsularne odpowiednich osób, nieraz chlubnie na terenie swego akredytowania znanych, dużo przyczyniły się do wzajemnego poznania. Działali tu nie tylko Serbowie i Chorwaci, ale i Słowenicy, między którymi żyje pamięć niezmiennie zasłużonego emigranta polskiego, Koryfki. Działali grupy młodzieży jugosłowiańskiej, przybywające do Polski na studia, działali Ligi polsko-jugosłowiańskie, przyczyniające się do rozwoju polskiej turystyki letniej w kierunku Jugosławii, działali sokolstwo, działali wreszcie pisarze i uczeni.

Literatura jugosłowiańska nie była nigdy dla Polski obojętna. Wielkie tradycje Gundulića podtrzymywał w Chorwacji August Szenoa, w Słowenii — Franciszek Preszern. W ostatnich latach katedrę historii sztuki w Krakowie zajmował Słoweniec, Vojesław Molé, a w Zagrzebiu wielkim naszym przyjacielem stał się prof. Ilesić. Zawdzięczamy im bardzo

wiele. Nad wszystkimi jednak góruje zasługa Julije Benešić.

Ten Chorwat, który w r. ub. obchodził 60-lecie urodzin, od szesnastego roku życia rozkochał się w Polsce i jej literaturze. W iście romantyczny sposób, przez korespondencję z członkami Zetu, nauczył się po polsku, później studiował u prof. Mariana Zdziechowskiego w Krakowie i stał się niezmordowanym szerzycielem wiedzy o Polsce w Jugosławii. Był lektorem języka i literatury polskiej w Zagrzebiu, jugosłowiańskiej — w Warszawie. Nade wszystko jednak był i jest imponującym tłumaczem, który swojej literaturze przyswoił około stu polskich dzieł, z zakresu poezji, prozy i sztuki dramatycznej. „W Szwajcarii“ Słowackiego, cały Wyspiański, „Chłopi“ Reymonta, teatr współczesny — oto po krótko jego plon. Jako dyrektor teatru w Zagrzebiu zapoznał publiczność chorwacką z dramatem i komedią polską. Ostatnio jeszcze, podczas obecnej wojny, wydał krótką antologię współczesnej poezji polskiej. Z drugiej strony, mieszcząc w Warszawie między rokiem 1930 a 1938, wydawał tam wzmiankowaną już „Bibliotekę Jugosłowiańską“, która była pierwszą próbą zaznajomienia Polaków z arcydziełami jugosłowiańskimi, ludowymi i artystycznymi. Trzeba dodać, że nie ma porównania między stanem przekładów z naszej literatury na język serbsko-chorwacki, a przekładami z ich literatury na polski. Wykształcony Jugosłowianin o literaturze naszej może mieć pojęcie, my zaś o ich literaturze nie wiemy na ogół nic. Przekłady Syrokomli, Kopernickiego, Feldmanowskiego, Brzozowskiego i Nitowskiego rozeszły się po kościach, jeżeli tak wolno powiedzieć. A szkoda. Literatura jugosłowiańska ma dotychczas żyjący epos bohaterski i ma bogatą, wszechstronną literaturę artystyczną, nie tylko ostatniego stulecia. Znako-mita szkoła dubrownicka z wieku XVII powinna nam być znana, chociaż by dlatego, że odznaczyła się tak bliskim naszej chwale narodowej „Osmanem“.

Na tym wypada zakończyć ten szkic, nie pełny oczywiście, pisany z pamięci, bez książek i źródeł, w warunkach emigracyjnych. Jeżeli jednak przyczyni się choć trochę do zainteresowania Polaków Jugosławią, autor będzie bardzo szczęśliwy. Wierzy bowiem we wspólnotę słowiańską, nawet *contra spem*, wbrew trudnościom koniunkturalnym. Bliższe stosunki kulturalne obalają przesady i sprzyjają porozumieniom. Zwłaszcza tam, gdzie — jak w wypadku Polski i Jugosławii — nie może być interesów sprzecznych.

SEWERYN ZILBERMAN

Włodzimierz Malacki - Jean Malaquais

Fioletowy świt wstawał nad przedmieściem Paryża, gdy wysiadałem z ciężarówki na rogu bulwaru Poniatowskiego. Szofer, odjeżdżając, życzył mi szczęścia w poszukiwaniu pracy i kiwnął ręką na pożegnanie. — Głodny byłem, niewyspany, a Włodek mieszkał na drugim końcu Paryża, rue Marcadet 3, metro Marcadet. Taki był adres w notesie. W kieszeni ani centima; muszę dreptać na piechotę. Walizka, zawierająca cały mój dobytek, urywała ramię, nogi ospale wlokły się po chodniku.

Wreszcie, po długim krążeniu zaułkami, gramolę się na czwarte piętro. Podchodzę do pierwszych drzwi: obce nazwisko. Następne, — to samo. Długi, wąski korytarz ciemnieje, wydłuża się w nieskończoność.

— Wyprowadzi się, — pomyślałem. Lecz do piątych z kolei drzwi przybita jest biała kartka:

„Vladimir Malacki“. Oddycham szeroko. Pukam. Cisza. Pukam jeszcze raz. Nic.

— Może wyjechał? Naciskam klamkę; drzwi otwierają się. Wchodzę. Pusto... Wszystko mi jedno czy jest, czy go diabeł wzięł! Walizkę stawiam na środku pokoju i jak długi wyciągam się na łóżku.

Zbudziło mnie trzaśnięcie w plecy i głos: — Brudasie! Wczoraj zmieniałem polecenie. Buty byś przynajmniej ściągnął.

Wierząc, Włodek odskoczył i, śmiejąc się szeroko, zawołał:

— Rozbierz się, cholero! Anim się ruszyć.

— Woda ci się za kołnierz lała, co? Opo-wiadam.

— Jechałem trzy dni z Lyonu. „Luksusowym“ autostopem. Przylazłem na piechotę z Porte Charteron.

Twarz Włodka spoważniała. Pokiwał głową, pogadził czarną czuprynę i mruknął:

— O pracę trudno. — Potem dodał jakby do siebie: — Łóżko starczy na dwóch.

Nabił fajkę, wpatrzył się w otwarte okno. Ściągnął w zmarszczki twarz i czoło, szerokie szczęki wypukły się jeszcze bardziej. I tak niezbyt wysokiego wzrostu, skulił się, jakby przysiadł.

Właściwie byliśmy na bakier. Zawsze jednak kończyło się w ten sposób, że albo ja przychodziłem do niego, albo on do mnie. O kłótni nikt nigdy nie wspominał. Ostatnia py-

skówka była solidna: ideologiczna! Pykał jak teraz fajkę, równo, spokojnie, odszczekując się monosylabami. Na jedno moje zdanie wpadł w złość. Spod krzaczastych brwi spojrzął oczy bystro i sztycherem. Twarz szczerwiała, przez lekko wydęte wargi sypnęły się słowa ostre, cięte, krótko skandowane. Potem wyciągnął małą, zgrabną dłoń. — Sztama! Trzasnąłem drzwiami i uciekłem...

A teraz stoi przede mną Włodek, obieżyświat i wódcęga, elegant zapięty na cztery guziki. Spodnie w kant i krawacik. Za chwilę pszytknie zgrabnie w kłapę marynarki, strzepując ledwo dostrzegalny pyłek, jak pła-ski figurant. Lecz z Włodka morus chłop! Leży mu to na nieładnej, sympatycznej głbie; kawalarz, przekora. Wyrzucony drzwiami, wejście oknem, wciśnie się bodaj komi-nem, ale nie ustąpi.

Odrócił się gwałtownie, spojrzął mi prosto w twarz i jakby gnany pośpiechem, powiedział:

— Zbieraj gnaty! Jedziemy do Casa-blanci.

— Chadra ci do łba wlaża? — Jedziesz? — spytał ostro — Jak nie, to...

— Casablanca? — wyszeptalem — Droga prowadzi się Lyon do Marsylii... Po co w takim razie przyjechałem z Lyonu?

Machnął ręką.

— Jedziesz? — powtórzył napastliwie. Ciężko zwlokłem się z łóżka. Naciągną-łem beret. Sięgnąłem po walizkę.

Nie pojechalśmy.

Dnia 5 października 1938 roku, w orga-nie francuskich socjalistycznych związków zawodowych, „Le Peuple“, ukazał się pierwszy odcinek powieści „Les Javanais“; autor — Vladimir Malacki. Rozpoczęcie druku poprzedził Henri Poulaille szkiecem o Malackim, zaznaczając, że urodził się on w Warszawie. Podnosząc znaczenie utworu, jako powieści proletariackiej, porównuje on twórczość Malackiego do prac Istrati'ego. Istrati, Malacki... Istrati, wysyłający swój rękopis ze szpitala do Romain Rollanda, i Malacki, do którego wyciągnął pomocną dłoń André Gide.

Malacki — górnik z St. Etienne, młynarz, woźnica, pucybit w Monte Carlo, sekretarz adwokata... Jaki chleb z niejednego pieca, zapijał się winem wszelakich przeżył, obłu-

kiwał obolałe stopy w wędrówkach po polnych drogach, po kamiennych bezdrożach i chodnikach pięknych miast. Utalentowany podpatrywał ludzi, codzienności, pod którą tkwił zadowolony ukryty charakter człowieka, jego umysłowość, zło i dobro.

O ile mnie pamięć nie myli, debiutował w „Europe Nouvelle“ szkiecem „Marianka“, obrazującym okrucieństwo i zwierzęcość przewrotu rosyjskiego. Drukuje także w „Vendredi“, w „Le Peuple“. Po zarysowujących się możliwościach powodzenia rzuca posadę (ostatnio pracował jako spec radiowy w jednej z większych firm paryskich), korzystając z poparcia i pomocy André Gide'a — poświęca się wyłącznie pisaniu. Przyznana mu w roku 1939 nagroda Theophrast Renaudet, która otwiera drogę do Prix Goncourt, spotyka go jako ochotnika frontowej formacji pionierów, „gdzieś nad Mosellą“.

Rozpalony żądzą ruchu i wyczynów, pragnieniem poznania i przygód, — to buntownik, w którym do końca życia płonąć już będzie ogień przekory, niemożność pogodzenia się z istniejącym porządkiem świata. Mimo „namacalnych“ perswazji ojca wieje parę razy z domu. Nie pomaga perspektywa głodu i nędzy, czyhająca tuż poza granicami na chłopaka bez grosza przy duszy, bez języka w gbie. Podrasta, wybula skądś trochę pieniądze i — opuszcza Polskę.

Talent pisarski, który sobie z czasem uświadamia, tężeje, nabiera krzepy, powagi — walką o byt i cierpieniem nędzy: wyostrza się tułaczka na drogach Europy, dyszącej, pod brzemieniem bezrobocia i rodzącego się totalizmu.

Specyficznego aspektu nabierają jego „Les Javanais“ w perspektywie klęski i kapitulacji francuskiej.

Kopalnia srebra i ołowiu nad morzem Śródziemnym. Baraki, chandra i wino: zabójcza praca i parę franków za dniówek. Międzynarodowa nędza i przystanek przydrożny awanturników. Tyrąja ciężko. Francuz takiej pracy nie przyjmie.

Robotnicy marzą o lepszym jutrze, a nie wiedzą, jak ono przyjdzie. Czy bić się o to należy, czy nie? Niezdecydowani, bezwolni. Tylko Polak, Warski, świadoł i celu i drogi.

Przez wąską szparę uchylonych drzwi baraku widać skorumpowaną Francję. Widać

(Dokończenie na str. 11-cj)

*) Należy przypomnieć, że istnieją Serbowie Jugosłowiańscy i Serbowie Łużyccy.

WŚRÓD KSIAŻEK

ZŁY CZŁOWIEK CZY ZŁY NARÓD?

Nagi król

Wickham Steed. Zły człowiek. Opowiadania dla młodzieży w każdym wieku. Przekład autoryzowany Marii Kaganowej. Jerozolima, „W drodze”, 1944. Str. 205 i 1 nl.

W miarę, jak wojna zbliża się ku końcowi, świat uświadamia sobie coraz wyraźniej, że toczy się ona nie z Hitlerem i jego partią, lecz z całym narodem niemieckim. Od zamierzonych czasów, od momentu rozbicia państwa Rzymskiego owi najeźdźcy germańscy otrzymali miano barbarzyńców. W poprzedniej wojnie światowej, tak humanitarnej w porównaniu z obecną, Niemcy zyskali sobie miano Hunnów za bezwzględność i okrucieństwo, jakie okazali na okupowanych ziemiach. A przecież wszystkie napady i wojny niemieckie, wszystkie okrucieństwa i zbrodnie Niemców błędą wobec ich ohydnych czynów, jakich dopuszczają się w wojnie obecnej. Jakże miano przysłać im jeszcze historia za okres obecnej wojny światowej?

Anglicy długi czas wierzyli w istnienie dobrych Niemców. Niejedni wierzą może po dziś dzień. Tę wiarę poderwało w nich bombardowanie Londynu w r. 1940. Poderwał pastor Niemoeller, komendant niemieckiego okrętu podwodnego z poprzedniej wojny, wtrącony przez Hitlera do obozu koncentracyjnego, z którego podczas obecnej wojny poprosił znów o oddanie mu dowództwa okrętu podwodnego, by móc walczyć w obronie swych braci-rabusiów. Poderwały bomby latające.

Dziś wielu Anglików dochodzi wreszcie do przekonania, że dobrzy Niemcy są mitem. Uczy ich tego lord Vansittart, uczy ich bomby latające, uczy ich Wickham Steed.

Zły człowiek, czy zły Niemiec?

Wickham Steed, jak nikt inny w Anglii zapewne, był powołany do napisania popularnej książki o Hitlerze. Rasowy publicysta wysokiej klasy, jacy giną już w dzisiejszej epoce kablowanego reportażu, był przecież przez szereg lat korespondentem największego i najpoważniejszego dziennika londyńskiego „Times” w Wiedniu, w Rzymie i w Berlinie. To było jeszcze przed tamtą wojną. Podczas poprzedniej wojny prowadził w swym dzienniku dział polityki zagranicznej, zaś w r. 1919 objął naczelną redakcję. Była to pozycja godna ministra, ale stokrój ważniejsza ze względu na placówkę obserwacyjną światowej polityki, ze względu na czynnik kontroli tak niepewnej często polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii, związanej z Europą wszystkimi więzami, a przecież jakby oderwanej od polityki kontynentalnej. Ilekroć przez wzgląd na wymagania imperialnej polityki Anglii biegła boczną ścieżką wielkich wypadów europejskich. Wickham Steed był zawsze i jest mimo swych 73 lat zwolennikiem polityki europejskiej Wielkiej Brytanii. Może dlatego, że na skutek długiego pobytu na kontynencie, wczucia się w historię Europy (napisał na ten temat kilka książek) — stał się par excellence europejskim. Jest nim bardziej, aniżeli inny wyspiarz, który wyjeżdżał tylko do Vichy, lub Wiesbaden, zwiedzając po drodze Paryż i Kolonję.

Ostatnia książka Steeda, napisana językiem zrozumiałym dla przeciętnego Anglika i już przez sam ten fakt pożyteczna, nosi znamienity tytuł: „Zły człowiek”. Można by się sprzeczać, czy tytuł: „Zły Niemiec”, — słyszałem taką sugestię, — nie byłby odpowiedniejszy. Dlaczego w takim razie nie: „Najgorszy Niemiec”? Wszak żaden zły człowiek w świecie, ani żaden zły Niemiec nie byłby godzien rozwiązać rzemyczków u trzewików Hitlera gdyby nie chodził on w butach z cholewami.

Wickham Steed nie czyni z Hitlera jakiegokolwiek postaci oderwanej w swej książce, jakiegokolwiek wilkołaka ludzkiego, grasującego wśród dobrego ludu niemieckiego.

Autor postawił Hitlera na tle wielkiej skrótu historii Niemiec, wyciąga go niejako z niemieckiej masy, wydobywa z tłumu, jako kosa z niemieckiej kości i krew z niemieckiej krwi. Jego portret malowany jest czarną farbą, jak i wszystkie inne sylwetki kompanów Hitlera, jak masa hitlerowców. Synowie Steeda, którym ojciec opowiada historię Europy między jedną wojną a drugą i historię Adolfa Hitlera, zdają sobie doskonale sprawę z cech charakterystycznych wprowadzonego przez Fuehrera ustroju, gdy oświadczają ojcowi, że opowiadanie jest wprawdzie bardzo ciekawe, ale nieprzyjemne, gdyż mówi tylko o ludzkiej bestialstwie. Czy nie ma w nim wcale dobrych ludzi? Jest ich niewiele — odpowiada ojciec.

Jest ich niewiele nie tylko w opowiadaniu Wickham Steeda, ale jest ich niewiele w całej Rzeczy. Są ludzie źli, są bierni, ale dobrych jest niewiele. Nikną w masie zbrodniarzy i współników oszustów i kłamców. Steed konsekwentnie dochodzi do konkluzji, że Hitler jest tej masy zbrodniarzy arcy mistrzem, jest arcyoszustem i arcykłamcą. Jest mordercą, który z zimną krwią nakazuje mordować, lub własnoręcznie zabija.

A przecież z tym człowiekiem rozmawiali różni europejscy mężowie stanu. Smutnej pamięci premier Neville Chamberlain nie pod-

niósł splendoru dynastii wielkich Chamberlainów-polityków, Józefa i Austina. Jakże inaczej rysuje się na tle dziejów Anglii wspaniała postać Józefa, ministra wiktoriańskiego, sztywnego, jak i jego wielka królowa, ale przenikliwego polityka, który umie zręcznie podsuwać zdrowe rady swej autorytatywnej pani. W erze Nevillea dobrzy Anglicy czynili wszystko, by przypodobać się Hitlerowi. Steed mówi o tym zupełnie wyraźnie i bez obłonek. Chce, żeby jego synowie znali prawdę, bezwzględna prawdę. Marszałek Piłsudski wiedział lepiej, jak postępować z Niemcami, gdyż znał ich lepiej. Gdy zaproponował wspólną wyprawę na Niemcy i spotkał się z odmową Londynu i Paryża, zapytał Hitlera, czy chce wojnę od razu, czy też za lat 5 lub 10, mogą ją bowiem mieć tak szybko, jak tylko tego zechcą. Hitler odpowiedział, że nie chce wojny, tylko pokoju, i tak powstał polsko-niemiecki pakt nieagresji.

Cytuję ten ustęp z książki Wickhama Steeda bez cudzysłowów, w skrócie. Ustęp ten jest w „Złym człowieku” bardzo charakterystyczny, ilustruje on bowiem cały kontrast linii politycznej polskiej i mocarstw zachodnich u zarania hitlerowskiego wladztwa. Ów pakt z Hitlerem jednak wykrzywił późniejszą politykę zagraniczną polską, choć nie tak karykaturalnie, jak to przedstawia Steed. Czy Polska bowiem mogła stanowić wobec Hitlera czynnik hamujący przy zajmowaniu przezeń Austrii, jeśli ani Anglia, ani Francja nie mrugnęły okiem z powodu losu Austrii? Jeśli Mussolini już nie groził wystąpieniem swych dywizji na Brenner? Czy stanowisko Polski wobec Czechosłowacji nie było konsekwentnym wynikiem stanowiska, zajętego przez rząd czechosłowacki w sprawie Zaolzia i licznych innych sprawach życiowych Polski? Błędy polityczne były obustronne.

Godesberg i Monachium

W okresie między jedną wojną a drugą polityka angielska przechodziła różne ewolucje. Raz biegła równoległe z polityką francuską, potem jej śladami, potem wracała do stanu biernego. Zrywała się nagle do nowego biegu, chwytając inicjatywę. Antony Eden przejechał Europę w r. 1935 i wymógł na Lidze Narodów sankcje w stosunku do Włoch za najazd na Abisynię. Po faktycznym niepowodzeniu sankcyj polityka angielska wróciła do stanu statycznego, by ruszyć na nową kampanię w okresie hiszpańskiej wojny domowej. Wszystkie zrywy kończyły się niepowodzeniem wobec braku konsekwencji w postępowaniu. Steed tłumaczy to błędami ówczesnych ministrów brytyjskich, którzy nie byli wprawdzie źli, ale byli naiwni i ślepi. Sprawa abisyńska poróżniła na dobre Anglię i Francję. Co tu gadać. Laval po majowym pobycie w Moskwie, gdzie parafował pakt wzajemnej pomocy, pojechał do Rzymu, gdzie zięć jego, ambasador hr. Chambrun, przygotował mu teren i sprzedał Mussoliniemu Abisynię. Czy stał się przez to z probolszewika profaszystą? Nie. Zawsze był aferzystą politycznym. Hitler wykorzystał spór na swój sposób. Złamał pakt lokarnijski i zajął zdeilitaryzowaną Nadrenię, zyskując jeszcze pochwałę w niektórych kręgach angielskich, choć ponowne ułożenie wojsk niemieckich w Nadrenii godziło już bezpośrednio w bezpieczeństwo Francji.

A jak doskonale przedstawiona jest przez Steeda rozbijająca naiwność polityczna Nevillea Chamberlaina, sądzącego, że w uczciwej rozmowie z Hitlerem wyjaśni wiele spraw i uratuje Czechosłowację, którą sudeccy Niemcy na rozkaz Hitlera zaczęli rozsadzać. Leci samolotem do Berchtesgaden i dowiaduje się takich rzeczy, że wraca do Londynu „smutniejszy, lecz niewiele mądrzejszy”. Hitler oświadczył mu, że jeśli natychmiast nie otrzyma Sudetów, zabierze je sobie sam. Francja odmówiła pomocy. Związek Sowiecki wobec tego odmówił również.

Neville Chamberlain polecił z kolei do Godesbergu, gdzie spotkał się ponownie z Hitlerem, a po powrocie oświadczył narodowi angielskiemu przez radio, że spór niemiecko-czechosłowacki jest „sporem w dalekim kraju pomiędzy narodami, o których nic nie wiemy”. Rząd brytyjski już też zdecydowany pozostać Czechosłowację jej władcyemu losowi. Izba przyjęła entuzjastycznie zaproszenie Chamberlaina do Monachium. Z jeszcze większym entuzjazmem Londyn witał premiera, wracającego z Monachium, jakby wynik konferencji monachijskiej oznaczał wielkie polityczne zwycięstwo. Tak samo entuzjastycznie dawny Londyn witał wracającego z Kongresu Berlińskiego Disraeliego. Tylko że Disraeli zagroził w r. 1878 Rosji drogę do Dardanel i wyjście na morze Śródziemne i zyskał dla Anglii Cypr. Neville Chamberlain nie zyskał nic ani dla Anglii, ani dla Europy, ani dla świata. Zdawało mu się, że uratował pokój. Ale za jaką cenę? I na jak długo? Na 11 miesięcy zaledwie. Konferencja monachijska przyniosła pełny sukces tylko Hitlerowi. Faktyczny i moralny. Oddawała mu więcej aniżeli Sudety i utrwałała go w pewności, że Anglia i Francja obawiają się panicznie nowej wojny europejskiej. Że nie są do niej przygotowane ani wojskowo, ani psychicznie. Kłęska Czechosłowacji w Monachium była

kłęską Francji i Anglii. Nie zdawano sobie z tego w Londynie sprawy. Nosiła w zarodku przyszłą kłęską Polski. Nie przeczuwano tego wówczas w Anglii. Zarządzono uroczyste nabożeństwa dziękczynne za uratowanie pokoju Europy. Hitler śmiał się do rozpuku w Berlinie, a w marcu spał już na zamku królewskim w Hradczynie, jako pan całych Czech i Moraw i faktyczny acz nie nominalny władca Słowacji.

Dwa bastiony

Prezydent Benes niejednokrotnie podkreślał publicznie, że Czechosłowacja jest bastionem bezpieczeństwa w Europie Środkowej. Mimo to ani Francja, ani Anglia nie uważyły za stosowne wystąpić w obronę tego bastionu ani we wrześniu 1938 r., ani w marcu 1939 r. Monachium jednak — jak się okazało — było lekcją, udzieloną przez Hitlera ministrom angielskim. Gdy Hitler wysunął swe żądania w sprawie Gdańska i korytarza przez Pomorze, zrozumiano wreszcie w Anglii, bardziej aniżeli we Francji, że Hitler zamierza powtórzyć swój sudecki eksperyment. Zrozumiano, że zagrożony jest nie sam Gdańsk i pas pomorskiej ziemi, ale cała Polska. Że zagrożony jest cały system bezpieczeństwa europejskiego. Geograficzne położenie Polski zamykało Niemcom drogę na Wschód w takim samym stopniu, jak zamykała ją w wiekach średnich. Armia polska mogła stanowić dla Hitlera rzeczywistą poważną siłę oporu pod jednym jednak warunkiem: że armie sojusznicze trzymałyby faktyczną straż nad zachodnimi granicami Niemiec: że slogan angielski po poprzedniej wojnie o granicach Anglii nad Renem posiadałby jakiegokolwiek cechy rzeczywistości. Wobec narastającego od kwietnia 1939 r. konfliktu niemiecko-polskiego rozumiano w Londynie, że Polska jest niezbędnym czynnikiem w polityce europejskiej, czynnikiem, który wraz z demokracjami zachodnio-europejskimi może stanowić ów konieczny w Europie równowagę gotowego już bloku państw totalistycznych. Polityka Anglii mimo okresowych wahań posiadała jednak jeden rys tradycyjny: dążność do osłabienia najsilniejszego państwa w Europie. Te tradycje pchały Anglię do wojny z Hiszpanią, z Francją Ludwika XIV, z Napoleonem, z Wilhelmem II. Zawsze w koalicji słabszych państw, zagrożonych przez owego najsilniejszego. W przeddzień września 1939 r. Niemcy hitlerowskie posiadały już wszystkie znamiona siły, świadomej i agresywnej. I ten czynnik zapewne był równie przyczyną nagłej zmiany dotychczasowej polityki premiera Chamberlaina. Udzielił gwarancji zagrożonej Polsce. Mimo dwuznacznego stanowiska ministra Bonnetta Anglia nie mogła pozwolić na osłabienie, czy nawet wyeliminowanie z polityki europejskiej tego równoważnika polskiego w Europie.

Steed, pisząc książkę popularną, musiał oczywiście przedstawić ten problem popularnie: Neville Chamberlain spostrzegł się wreszcie, że Hitler nabrał go w Monachium. Wprawdzie o Polskę dbał nie wiele więcej, aniżeli o Czechosłowację, — twierdzi Steed, — udzielił jednak Polsce gwarancji, by ratować Anglię. Gwarancje były jednak platoniczne, nie stał bowiem za nimi czynnik siły militarnej. Wszak w innym miejscu Wickham Steed opowiada, że gdy brytyjski minister lotnictwa przybył do Berlina, by pozwolić Niemcom na budowę większej ilości samolotów, dowiedział się ze zdziwieniem cynicznej prawdy, że Niemcy posiadają już więcej samolotów aniżeli Anglia. Wkrótce miały ich więcej, aniżeli wszystkie inne państwa europejskie. Były przygotowane do wojny. Tym bardziej podziwiać należy heroiczny zryw naiwnego Nevillea Chamberlaina, który zaangażował Wielką Brytanię po stronie Polski bez żadnego militarnego przygotowania. Jeszcze ów list Chamberlaina do Hitlera nazajutrz po podpisaniu niemiecko-sowieckiej umowy rozbiorowej co do Polski jest typowo chamberlainowski: proponuje rokowania. Jeszcze typowo chamberlainowski jest owy postrząsany nie mobilizacji polskich sił zbrojnych, aby prowokacja niemiecka nie ulegała żadnej wątpliwości. Tego samego typu pociągnięciem jest owo żądanie od Hitlera wycofania wojsk z najechanej już Polski, bo w przeciwnym razie Anglia i Francja wypowiedzą Niemcom wojnę. Hitler gwizdał na to wszystko.

W końcowym ustępie książki Wickham Steed z europejczyka staje się znowu wyspiarzem, który czuje się bezpiecznie za kanałem La Manche. Kary, jakie obmyślił dla Niemców po tylu zbrodniach, dokonanych na niewinnych ludziach i ludach, są bardzo humanitarne, są symboliczne raczej. Posłuchajmy: „Pierwszą karą będzie świadomość, że zrujnowali i siebie, i swój kraj. Następna ich karą będzie uczucie, że każdy kraj, którego naród ograbili, dręczyli i zabijali... gardzi nimi, jako brutalami. A być może najcięższą karą będzie utrata szacunku dla siebie samych” (str. 204).

To Europie i światu nie wystarczy. To stanowczo za mało za wszystkie zbrodnie. Zwycięży karzący twardszy: Vansittart lub Morgenthau.

Aleksander Then

Bernard Shaw. Everybody's Political What's What. Londyn, Constable, 1944. Str. VIII i 380.

Książka ta jest obecnie bestsellerem. Rozeszły się już dziesiątki tysięcy egzemplarzy, a krytycy, nieśmiało zgłaszając zastrzeżenia, pełni są komplementów dla niesłychanej żywotności i świetności intelektualnej autora. Cóż, Bernard Shaw jest dzisiaj niemal że instytucją narodową; poza tym ten osiemdziesięcioletni starzec jest istotnie światowym pisarzem dramatycznym, nie więc dziwnego, że nie może się znaleźć w tym kraju śmielek, któryby — tak jak to dziecko w bajce Andersena — ośmielił się powiedzieć, że „król jest nagi”, że książka Shaw'a po za paru dobrymi dowcipami i istotnie świetnym stylem jest zupełnie bezwartościowa jako filozofia polityczna. Lat temu sześćdziesiąt Shaw istotnie odegrał rolę w życiu politycznym Anglii. Był on wtedy razem z małżeństwem, Sydney'em i Beatrycą Webb, współtwórcą i głównym teoretykiem Fabianów. Towarzystwo Fabianów wówczas było angielską formą socjalizmu. W przeciwieństwie do socjalistów markowskich Fabianowie byli przeciwnikami rewolucji, przeciwnikami dyktatury proletariatu. Uważali oni, że do socjalizmu dojdzie się drogą powolnej nie etatyzacji, ale municypalizacji przedsiębiorstw, wskazywali w swych pracach, że do socjalizmu dojdzie się w końcu drogą normalnej ewolucji, ukuli formułę *the inevitability of gradualness*.

I w latach ostatnich wieku XIX fabianizm niewątpliwie odegrał dużą rolę. Po wojnie światowej wszystko się zmieniło. Istnieje jeszcze Towarzystwo Fabianów, ale jest ono dzisiaj właśnie oporą marksizmu angielskiego. Z twórców zaś jego oboje Webbowie pod wpływem rewolucji rosyjskiej zmienili swe poglądy i stali się na stare lata apologetami ZSRR.

Shaw zaś zachwycił się jednako i Leninem, i Stalinem, i Mussolinim, a nawet i dla Hitlera czuł pewną sympatię. Ciągłe uważając się za socjalistę i za demokratę.

Za takich ogłasza się i w książce obecnej. Ale i jego socjalizm i jego demokracja są wielce dziwnego pokroju. Socjalizm polega na tym, że, idąc za Henry Georgem, całe zło widzi w prywatnej własności ziemi i uważa, że z chwili gdy to się usunie, to już będzie dobrze. Poza tym pisze kilka razy o konieczności wyrównania dochodów. Z tym ostatnim jednak jest trochę dziwnie. Bo jednocześnie tłumaczy, że właściwie 4000 funtów jest minimum życiowym, oczywiście dla człowieka jego pokroju, i oburza się na obecną wysokość podatku dochodowego w Anglii. Bardzo wymownie wyklada, że przecież z jednego bogatego człowieka żyją dziesiątki służby i innych osób, które dla niego pracują.

Jeszcze dziwniejsza jest shawowska demokracja. Nie ma on dosyć słów pogardy dla systemu partii politycznych, dla powszechnego głosowania, które „było komu” pozwala przez swój głos wpływać na ukształtowanie się rządów, pochwała Stalina i Hitlera za to, że zerwali z absurdem parlamentu. Parlament w pojęciu Shawa może mieć swe miejsce jako gadalnia, w której będą wentylowane skargi ludności, ale wara mu uchylać ustawy.

Uchwałać ustawy, a w szczególności rządzić, winni jedynie ludzie mądrzy, specjaliści, wybrani przez specjalne ciała wyborcze, również z gwarancją specjalnego uświadomienia wyborców. Kto będzie kwalifikował tych wyborców, a szczególnie jak będzie ułożona ta lista mędrców, z której jedynie będzie wolno wybierać rządzących, Shaw nie raczy wyjaśnić. Kontentuje się shawowskim dowcipem, że istnieje przecież Opatrzność, która zawsze postara się o to, by było dosyć mądrych ludzi.

W gruncie rzeczy koncepcja shawowska pokrywa się dosyć dokładnie z koncepcją „elitaryzmu”, która grasowała w Polsce przedwrześniowej. Tylko, że nasi rodzimi elitaryści przynajmniej nie ogłaszali się za demokratów i socjalistów.

Książka Shaw'a, jeżeli ma jakiś sens, to jest atakiem na demokrację Zachodu. Stale łączy on bowiem trzy pojęcia, jako równorzędne: faszyzm, narodowy socjalizm i *New Deal*. Powiada, że Adolf Hitler ma rację, gdy twierdzi, że demokracja angielska jest jedynie „anglo-semicką plutokracją”. Płacze nad losem, zgotowanym Niemcom po wojnie ostatniej. O obecną zaś wojnę mówi, że *for when Germany proposes to fascify the whole earth under the Fuhrership of Adolf Hitler, the Italy the same under Benito Mussolini, the Anglo-American fascists will see Germany and Italy damned before they will accept any Fascism that is not of their own making under their own Fuhrers*.

Nie ma w książce żadnego cienia aluzji do tego, że jest jakakolwiek różnica moralna między Hitlerem a jego ofiarami.

Poza tym jest jeszcze cały szereg innych momentów, bardzo luźno z tematem związanych. Shaw używa sobie na wszystkim, czego nie lubi i nie rozumie. Atakuje więc długo Pawłowa i jego eksperymenty, antyseptykę w chirurgii, obowiązkowe szczepienie ospy i t. d.

Wszystko to pisane tonem niesłychanie zarozumiałym, z głębokim przeświadczeniem, że wygłasza prostaczkom prawdy objawione.

A jednak — „król jest nagi”.

cep

tak z tym pierwszym rzutem sztabu, z jakim generał jutro o świcie będzie w Caen? Ta możliwość wydaje się generałowi znacznie bardziej realna, niż wizja scout-car'u. Sam generał nie ma miejsca, ale dowódca artylerii dywizyjnej idzie na rękę. (Znam go z czasów, gdy był attaché wojskowym w P..., teraz jechałem statkiem, który był pod jego komendą. O, nie ma jak ludzie uczynni — i znajomości!).

Ze śpiworem, płaszczem i chlebakiem przesyłam ostatnią spokojną noc u stóp jeep'a, w którym zabierzemy się w drogę na długo przed świtem o jakiejś trzeciej rano. Jest noc chłodniejsza niż poprzednia i od legowiska, od gęstej trawy sadu, idzie wilgotny chłód ziemi. Niemcy nie latają; nie ma reflektorów nawet. Tylko wszystkie drogi wokół nas huczą nieustannie motorami dywizji, razem z naszą przegrucanych tej nocy za zburzone Caen. Niżej, żołnierze są jakby skupieni bardziej i cichsi. Nad tym wszystkim zaś u góry rozpięte się przebijają czarne, sierpniowe, rozgwieżdżone niebo. W chłodzie nocy odrywają się z tego nieba i lecą w przestrzeń coraz to nowe gwiazdy. Czasem pozostawiają za sobą tak jasne smugi, że mimo woli się myśli: gwiazda czy rakietka? I mimowiednie także myśli się i o tym, że tej nocy sierpniowej, z tego normandzkiego nieba sygnalizują się gwiazdy milczących dziwnie, niepokojąco wiele... Jest stara wiara żołnierska, że to spadają gwiazdy tych, co jutro padną. Dużo spada tych gwiazd. I już się skończył jeden normandzki etap.

Dzień pierwszy

Kiedy budzimy się, jest jeszcze noc. Huk motorów na drodze przycichł, za to wszędzie koło nas zapuszcza się silniki naszego „rzutu”. Jabłonie normandzkiego sadu nie bardzo wypały się tej nocy. Koguty, gdzieś obudzone, piał zaczęły. Pies jakiś szczeka na farmie. Polska zawsze się czemuś najbardziej przypomina o świcie samym albo o zmierzchu, i zawsze raczej wsią, nie miastem. Dzwony kościołów, zapach siana, ciepły dech obory, zmysłowe odory stajni. Ładujemy się na jeep wśród tych ech Polski, jeszcze kawa z kuchni polowej i wyjeżdżamy na drogę. Na rozstaju angielski żandarm w białych szelkach i kamazach kieruje ruchem. Nie ma jeszcze czwartej rano, ale ruch tu większy niż na Piccadilly w południe.

Czy pamiętacie film z powieści Hemingway'a *To Whom the Bells Toll?* Jedną ze scen przed końcem, kiedy ciasnymi drogami Guadarramy w cieniu błędnącej nocy przepycha się ku frontowi moc aut, ciężarówek, dział, czołgów, które o świcie rozpoczyna ofensywę przeciw faszystom? Połyskują przegazzone światła, co chwila wszystko staje, świat dokoła zasnut mrokiem i mgłami przedświata, huk niustający na drodze? Więc to właśnie to. Jak w tym filmie. Gdzieś zjeżdżamy z kolumny i na chwilę mamy ciszę, taką, jaką dają wczesne ranki jesiennych polowań. Gdzieś mijamy Bayeux. Potem z dróg polnych, wytoczonych inwazją, zjeżdżamy na asfaltówkę. W jednym rowie czołg niemiecki, — jeszcze go nie wydobyli; w innym miejscu — mały wojenny cmentarzyk. To już stare dzieje: parę tygodni chyba. Każda mogiłka posiada bowiem świeży, biały krzyż. Gdyby to było niedawno, na grobach byłyby tylko puszki blaszane po „tea ration” albo „boiled sweets”. W nich kartka z nazwiskiem, numerem, wyznaniem. Tak wygląda w tutejszej wojnie prowizorium mogiły.

Dnie już zupełnie, kiedy wjeżdżamy do Caen. Szeroka droga, typowe przedmieście, domy bez szczytów, prawie każdy nosi ślady pocisków. Jedziemy teraz w długiej kolumnie wozów, — wiele w niej piechoty, naszej i angielskiej, na karrierach i ciągnikach. Po bokach przeciskają się nieliczni, ponurzy cywile, bładzą jakieś opuszczone, nieżyje psy czy koty. — „Jak się macie, Polacy?” — mówi czarno ubrana dziewczyna, prowadząca rower. Jest Polka, pracowała tu stale, jest polską komunistką, pyta o podróży Mikołajczyka, Wasilewską, Berlinga. Pytamy ją, dlaczego Warszawa nie otrzymuje pomocy. My jej nie umiemy odpowiedzieć, ona nam. Tacyśmy sami biedni, i ona, i my. Konwój rusza dalej.

Miasto jest wyludnione nie tylko dlatego, że jest dopiero jakaś siódma czy któraś tam rano. A przecież tu jeszcze nie robi wrażenia bardzo zniszczonego! Tak, słupy telegraficzne powalone, domy pełne blizn, syb nie ma, ale to jeszcze nic. Wielki maszyniści romansej katedry nietknięty, — czemu te bulwary takie puste? Wojsko tylko, ambulansy. Wszystko okurzone, pełno niegolonych Anglików, oczy świecące w zmęczonych twarzach. Huk dział coraz bliższy. Typowe objawy, że dopychamy się coraz bliżej do kresu wędrówki.

Dopiero o paręset jardów od katedry rozumiemy, dlaczego Caen jest wyludnionym miastem. Wjechaliśmy do śródmieścia, a zarazem do tego, co było nowoczesną częścią miasta. Po Madrycie, Warszawie, Londynie nie myślałem, że mogę zobaczyć jakieś bardziej zbombardowane miasto. Co za dziecinna naiwność! Tu nie tylko nie ma domów, ale i nie ma ulic. Jedziemy poprzez jakąś bardzo pagórkowatą pustynię, pokrytą szaroczarowym, mialkim i lotnym pyłem, spod którego wystają jakieś złomy. Widok ruin domów jest rzeczą niezwykle rzadką. Zazwyczaj są to złomy, przywalone gruzem, przesypane tym pyłem. To, czym jedziemy, nie jest wcale ulicą; nigdy nawet nie było ulicą. Po prostu poprzez tę pustynię wytoczono wijący się, nierówny szlak, tak samo kręty, jak bieg rzeczek wiewskiej, którą było najłatwiej przejechać ku mostom na rzece Orne. Napisano na tle gruzów głosz: „Tędy do mostu Winstona”. „Most Winstona” jest oczywiście nowym mostem: postawili go pionierzy. Tego samego pochodzenia jest i drugi most: „Euston Bridge”. Nie wiem,

czy Winston i Euston zyskają w Caen na popularności.

Rzeka Orne, mała, biedna rzeka, jest teraz strumieniem, płynącym przez pustynię. Jej dawne mosty zsunęły się w jej głąb, jej woda stała się tak samo szaro-czarna, jak „droga”, po której jedziemy, jak pył, który przesypuje to wszystko. Cembrowiny, w które była ujęta, popękały, jak gliniany garnek; ona sama wygięła się to w lewo, to w prawo. Parę drzew, pozostałych na brzegu, — to czarne kikuty bez jednego liścia osmalone ogniem. Pnie zwłaszcza są węglem. Teraz dopiero człowiek sobie uświadamia, jak olbrzymie może być zniszczenie miast niemieckich, jeśli tak wygląda małe Caen.

Po drugiej stronie rzeki jest nieco lepiej. Tu Niemcy nie przygotowywali obrony, nie mieli składów, uzupełnień, załóg. Gdzieś, w jakichś centrach, wysyłających bombowce, określono też część miasta od reszty, podobnie, jak określono tamtą, tę z katedrą. Tu działała tylko artyleria. Ale i tu jest pustka. Domy puste, choć jest już chyba po ósmej, — przejazd przez Caen zabrał nam dobrą godzinę. Natomiast wzdłuż chodników leży pełno żołnierzy angielskich. Zasunęli swe piaskie helmy na oczy — i śpią. Śpią wszędzie. Na chodnikach, we wnękach bram, na ciężarówkach i w cieniu ciężarówek, na podwoziach długolufnych dział. (To także tylko w bliskości frontu tak wielkie ilości ludzi mogą spać w tak niewygodny sposób tak twardym snem. Na froncie ludzie żywi będą spali koło trupów, upodabniając się wzajem swym zniechęconym spokojem. Nawet gdy trupy są już parodniowe. Nie szkodzi!).

Przedmieście ścieśnia się w szosę, — szosę na Falaise. Naraz z lewej i prawej błyski i huk, — trzeba w uszy wtykać watę, gumowe zatyczki. To zmasowana artyleria aliancka, jakieś dwadzieścia parę pułków, obrabia stąd pozycje niemieckie. Jak na szerokiej szachownicy stoją działa z działem. To nie żadne baterie, to po prostu pole, porośnięte działami, olbrzymi kwadrat, którego końca stąd nie widzę. Właściwie nie ma oddzielnych salw: jeden strzał zalepia się w czasie o drugi i jest to niustanny błysk odpalenia, przebiegający polem, jak dreszcz, i niustanna fala huków. Kiedy będziemy dalej, będzie to jak długi, letni grzmot. Skończył się żywot indywidualny dział; ich masowość zagnała je w kolektyw. Tam, gdzieś przed nami, także pociski nie zwalają się jeden po drugim. Spadają naraz, jak gołębie, całą masą.

Gdzieś przed nami? Krajobraz zmienił się bardzo od okolic Bayeux. Zamiast łąsek, sadów, drzew, coraz większe, szersze przestrzenie. Kraj jest pofalowany, ale są to coraz dłuższe fale i coraz bardziej płaskie. Oto jedna tuż przed nami: pełno na niej wozów, czołgów. Tu, jeśli wszystko poszło wedle planu, powinien być w tej chwili generał ze sztabem i pułkiem czołgów. I istotnie! — jest. Przed nim, olbrzymim prostokątem, z działami na południowy-wschód w kierunku otwartego horyzontu stanęły czołgi. Będzie ich chyba paręset. Dzień zrobił się piękny. (Jeden z takich, którymi późno lato przechodzi we wczesną jesień). Kraj też się zrobił piękny. To już nie jest ogródkowa zieloność tamtej części Normandii, to nie jest szarość zniszczenia Caen. Jesteśmy na garbie wzniesienia. Widać stąd szeroko. Po lewej ugina się kraj w lekką kotlinę i dopiero daleko podnosi się nieco z powrotem sinymi grzywami lasów. Przed nami spłaszcza się niemal — niemal — w step. Ta sama pszeniczna płowność. Ta sama olbrzymość równiny. Gdzieś daleko jakieś drzewa, znak jakby futuru. Po prawej prosto wytknięta szosa, drzewa, słupy telegraficzne. W żaden sposób to wszystko nie mogłoby być hrabstwem Perth, York czy Stafford. Jakże łatwo mogłoby być Podolem! Już za szerokie, za pojętne na Konin czy Kościan; Tarnopol? — Tak. Trembowla? — Tak. Kopyczyńce. Jampol. Połonne. — Może... Stary Konstantynów.

Czołgi zatrzymały się nad tym. (Dawno już porzuciłem gościnny jeep). Stoją właściwie już poza samym garbem, z lekką na stożku, jakby już wjeżdżały w to wszystko. Czy wojna ma swój patos? Oczywiście, że ma. Czy maszyna ma swoje piękno? Oczywiście, że ma. Ale tu działa przede wszystkim moc tego. Mnogość! Gdyby to spływało ze wzgórza jedną falą, to byłby prawdziwy zalew. Silniki grają. Maszyny radiowe chwiał się smukłe pretły. Z wież wyglądają ludzie.

— Pruszyński! Co pan tu robi? Skąd tu?

Tak przemówiła wieża na czołgu z lewej. Toteż niezależnie od słabych talentów akrobacyjnych już jestem na czołgu z lewej. — „Jestem Rożek, podporucznik, z Guer, pan pamięta, z Coëtquidanu? Spotykaliśmy się u Lipskiego! Z Adolfem Bocheńskim! O, szkoda Bocheńskiego, szkoda... Tak się naprawdę zmartwiłem, gdy przeczytałem, że pod Ankoną... Co pan tu robi? To spotkanie!...

Wszystko zaczyna się tak, jak myślałem (i tak, jak bym napisał w powieści). Nawet z Coëtquidanu. (Tylko znajomościami można w Polsce gdzieś zajechać, nawet do czołgów także, i byle te znajomości odnaleźć, to już wszystko idzie). Tylko tak dalej.

— Zabierze mnie pan do czołgu?

Coś jest takiego w oczach porucznika Rożka, że czuję, że by mnie zabrał. (To już dobrze). Ale potem przychodzi opór:

— Ale jak, miejsca nie mam?

— Nic się nie znajduje?

— No, jak?

I otrzymuję (znane mi już) wyliczenie, gdzie kto w czołgu siedzi; ani miejsca więcej. Ale jednocześnie widzę wyraźnie, że i on ochotę ma. Wprowadź coś baka o szkodzi, o potrzebnosci, o pisaniu, ale ktoś, co za chwilę

sam będzie głowę nadstawiał, nie przejmując się zbyt cudzą.

Wreszcie ukazuje się furka:

— Niech pan pomówi z dowódcą pułku. Może on co wynajdzie... O, ten czołg, tam...

— A jaki wy jesteście pułk?

— 10-ty P.S.K.!

Wiadomość ta niespodzianie mnie cieszy; już Maczek mówił o tym 10-ty P.S.K., teraz akurat na niego trafiam; widać tak już sążonne. Idę ku czołgowi. Nim doszedłem pół drogi, czołg zachwiewa się, zakiwał się w miejscu i rusza. Za mną czołgi, płazy żelazne, zakolysały jeden po drugim wieżami i zjeżdżają po kolei na drogę. Jadą szerokim, stratosowanym, jak klepisko, szlakiem. Biegnę; nie ma mowy dogonić. Mija mnie czołg porucznika Rożka, który daje ręką jakieś skonfundowane ruchy. W odpowiedzi macham w kierunku jego drogi. On też. Znaczy: dogonimy się. Jeszcze nic nie stracone. W każdym razie jedno już teraz wiem. Będę szukał szczęścia w tym dziesiątym P. S. K.

Narazie nawet sytuacja zaczyna się poprawiać. Oto naraz za czołgami pokazują się ciągniki; wiadom na pierwszy z nich, — jedziemy. Teraz można spokojnie przyjrzeć się wszystkiemu. Przed nami polem jadą wydłużonym pochodem czołgi, wozy, ciągniki. Za nami zostało Caen, artyleria „Agry”, reszta dywizji; z boku od nas droga, pusta zupełnie, — łupie w nią za to co chwila artyleria niemiecka. Byle nie zaczęła skręcać, wszystko dobrze. Ze wsi w drzewach przed nami wznoszą się dymy; widać ogień w dwóch miejscach; słychać zupełnie blisko karabiny maszynowe. Przed wsią pszenica się kończy; jest jakieś pole zielone, jakby buraki. Widać w nim zbliżające się skokami do wsi płamy khaki. Tę wieś, jeśli dobrze pamiętam, mieli zająć Szkoci. Nasze czołgi pójdą dalej.

Tymczasem, raz za razem, pochód się uszywnia. Wiesz przed nami odszczekuje się coraz częściej urwanymi „krótkimi seriami” karabinów maszynowych. Najwidoczniej działanie artylerii nie było tak znowu straszliwe, jak nam to obiecywano. Droga po prawej jest też coraz częściej „macana” niemiecką artylerią. Ciemno-sine słupy wybuchów wykują między jej drzewami i człowiek mimo woli sobie myśli: wszystko to jest bardzo dobre, ale przecież wreszcie jakiś niemiecki obserwator zauważy, że cała kolumna pojazdów posuwa się równoległe do drogi — i skróci ogień o tych dwieście czy trzysta jardów. Zupełnie wystarczy.

Tymczasem nowa trudność. Waleczne ciągniki nie jadą dalej. Mają tu czekać na jakieś dalsze rozkazy. Czołgi są przede mną o pół kilometra; też stoją. Mogą jednak ruszyć. Nie ma co, zabieram się i idę ku nim. Idzie się, jak klepiskiem, złota słoma kłosem została wdeptana gąsienicami w rudą, gliniastą ziemię. W jednym miejscu wyrwa: czołg, niemiecki, rozbity, oraz pod strażą dwóch dragali angielskich dwaj niemieccy jeńcy. Siedzą, plecy mają do siebie, przyglądają się, jak tyraliera brytyjska podchodzi pod tę spaloną, już bez ziarnka, wieś. Anglicy, ucieszeni, mówią do mnie:

— O, ten stary jest Polakiem!

Starszego jeńca zagaduję po polsku. Nic nie odpowiada. Pytam drugi raz, on nic; już myślę, że to przez jakiś swoisty fason, gdy ten mówi:

— Ich verstehe nicht...

— Sie sagten, Sie sind ein Pole?

— Jawohl, Leutnant; ich fürchte...

I pokazuje na żołnierzy angielskich; drugi jeniec ogląda się na niego, na mnie. Ma przymrużone, pogardliwe oczy. Objaśniam Anglików, co to za rodzaj „Polaka”. Idę dalej.

Na boku nieco stoi oficer polski. Major. Patrzy na mnie, skąd się biorę na piechotę tutaj, ja na niego; — melduję się.

— Aaa... Pruszyński... — powiada że zrozumiałym u majorów brakiem zapału.

— Pan major mnie zna?

— Tak... Z czytania...

Ton nie jest szczególnie zachęcający, ale najlepiej jest brać byka za rogą.

— Z czytania, — powtarzam; — no to już wyobrażam sobie!...

— Dłaczego, — mówi major pojednawczo, — rozmaitcie...

W pewnych rozgrywkach wyniki remisowe już należy uznać za zwycięstwo; pcham więc rzecz dalej. Mówię, jaki mam przydział i po co zawędrowałem aż tu; mówię o spotkaniu z porucznikiem Rożkiem i że szukam 10 P.S.K. i czemu szukam 10 P.S.K. Major słucha tego dziwnie cierpliwie i wreszcie mówi:

— Zabiorę pana moim rzutem A1; por. S. wsadzi pana do scout-car'u. — Do scout-car'u? — myślę — i przypomina się generał i wczorajsza rozmowa. Okazuje się zatem, że można dostać się do scout-car'u! Może nie jest to czołg, ale zawsze lepiej niż ciągnik.

— Ale gdzie jest 10 P.S.K.? — pytam jeszcze.

Major wyjaśnia:

— Jestem dowódcą 10 P.S.K....

Zbyt krótko jestem w tej dywizji, żeby wiedzieć, że tu majorowie dowodzą pułkami; sądząc po bliżej mi znanych i liczniejszych okazach, mógłbym się łatwo spodziewać na tym stopniu pełnych generałów. /Idzie coraz lepiej. Porucznik S. podwozi mnie do owego mitycznego jeszcze dla mnie „rzutu A1”. Jest to nieco w tyle. Sympatyczny Lwówianin, podchorąży G., wita mnie bardzo ciepło. Okazało się, że uprzedza wypadki; myślał, że jestem ranny. Sam, biedak, był ranny i ciężko, w dwa dni potem.

Podchorąży G. dokonywa też mojej introdukcji do pojazdu, zwanego scout-car'em.

Oczywiście znam z widzenia to blaszane, zamknięte pudło na kołach, z karabinem maszynowym na dachu (Nawet w moich oczach nie jest to zbyt groźny potwór; ale niewątpliwie znacznie bardziej niż jeep). W każdym razie — niewątpliwie awans. Czuję się nieco, jak poddany Jego Królewskiej Mości, który marzył o tym, aby zostać lordem, ale zostaje narazie tylko sir'em. *I do like it too* — powiadam sobie, licząc, że na lordstwo też przyjdzie kolej. Od scout-car'u, jak od sir'a, należy zacząć, nie należy tylko na tym i skończyć.

Kierowca scout-car'u, przyjemny blondyn z Wileńszczyzny, ma tu rozgałęzione stosunki rodzinne. W tej armii jest dwóch jego szwagrow, trzeci poległ. Szwagrow nie zabrał ze sobą z Polski: to już tutejszy narabytek, jest bowiem żonaty ze Szkotką. Jedziemy wciąż w tempie dość wolnym, tak zwanym kalwaryjskim. Zostawiamy na boku ową wieś, do której już zdążyła wejść tyraliera angielska; teraz tylko od czasu do czasu jakiś krótki strzał oznacza, że regulują tam ostatni rachunek. Z kolei artyleria niemiecka domacujemy się wsi. Pociski mamy teraz po obu stronach, bo drogę obrabiają także; jedziemy środkiem. Jakimś czołgowi spada gąsienica: wlaź na minę, — pożyteczna przestroga. Odtąd jedziemy takim tylko szlakiem, gdzie przeszły co najmniej trzy czołgi. Po drodze z sanitarki ktoś macha ręką: to spotkany tu onegdaj Walenty Nowicz. Ale zawsze co scout-car, to nie sanitarka; patrzę z góry na bohaterskiego autora *Przygód Koziołka Matołka i Fiki Miki dalsze dzieje*. Za chwilę to Walenty Nowicz jest wygrany: wprowadzie dalej jedzie sanitarkę, ale jego waleczna sanitarka przegania nas, nie wiedzieć czemu. Wreszcie jeszcze jedno spotkanie: zbożem podjeżdża sztywnie jeep, w nim Horko i korespondenci wojenni, Kiersnowski i Feldhusen. Bardzo pożyteczne spotkanie, bo przywołam mi przyjemny list z Anglii.

Tymczasem robi się popołudnie, podjeżdżamy pod las i huk strażów jest już bardzo bliski. Za las przed nami poszły czołgi naszego (to jest, oczywiście, 10 P.S.K.) pułku; za lasem z lewej bije się pierwszy pancerny. Tymczasem skraj lasu i oba lasy są pod ogniem jakiejś dalekiej artylerii niemieckiej. Biję gęściej niż tamta na drodze. Jakiś carrier dostał i pali się; farma pod lasem, duży piętrowy budynek, dostaje raz za razem, toteż wozy robią tam wykret w pszenicę, gdy trzeba tędy objechać. Tamten skraj lasu jest też unikany. Systematyczność niemieckiej artylerii ma swoją dobrą stronę. Dzięki niej po dwóch pierwszych pociskach można się zorientować, na co kolej, i odpowiednio zmienić własne miejsce postoju.

Od pułku w przdzie dochodzą krótkie wiadomości radiowe, które rozchodzą się tym szybciej, żeśmy pod lasem zeszli z wozów i leżymy wśród ściętych pociskami wielkich gałęzi; pocztą pantoflowa może działać. Pierwszy pułk ma olbrzymie straty: natrafił na niemieckie „Tygrysy” pod lasem... Nasz (to jest dziesiąty) stracił kilka czołgów. Zginął rotmistrz Leliwa... Mija godzina, druga, trzecia. Cien drzew robi się dłuższy; jest mniej gorąco. Siadamy w dole niemieckiej roboty i zabieramy się do jedzenia. Jużeśmy mieli herbatę robić, co by się bardzo przydało, gdy nagle wiadomości:

— Porucznik Sz. do bacy!

Domyślałem się, że „baca” — to dowódca pułku, ten sam major, który mnie przyjął do rzutu A1. Istotnie, wyglądał na bacz. Milczący, zamyślony, uważny. Nie wszystko na wojnie składa się najlepiej; właśnie lizjera lasu, którą z por. Sz. będziemy przejeżdżać, spodobała się artylerii niemieckiej. Już łupnęło tam w jakiś ciągnik, — o, przez pole, środkiem, niosą rannych i prowadzą jednego. Po chwili nowy syp wybuchu wyrasta na tej samej lizjerze. Siadamy we trzech do scout-car'u.

— Jedź u w a z n i e — upomina kierowcę Sz. Po wykrotach, zapylamy przed lizjerę. — U w a z n i e — przypomina Sz. — U w a z a m, u w a z a m, panie poruczniku, — zaręcza Wilnianin. Wszyscy na pewno myślimy, jak by to szybko być poza lizjerą. Drzewa, rów, nasyp; trzeba zwolnić. Jest! Scout-car wyjechał na równe, przed nami znowu pole. Dajemy gazu w zboże, jakby to był asfalt.

Pole, na którym teraz jedziemy, jest jakby wielką polaną. Ze wszystkich stron bądz drzewa, bądz lasy. Pszenica na poły stratosowana, wyrwa pocisków, na skraju, na tle nowej jakiejś wsi, wielki ogień. To dopala się czołg angielski. Jeszcze niekiedy wybuchy amunicja i kawały żelaza, furczące, lecą w powietrze. Na tym polu zbierają się szwadrony pułku. Jest por. Rożek.

— Dobrze, że pan nie był: nasz czołg dostał!

(Dziś już nie pamiętam, jak dostał; zdaje się, że w ciągu tego krótkiego tygodnia czołgi, dosiadane przez por. Rożka, dostawały stale — i załoga też).

Major jest też:

— Jest pan. Dobrze.

Jak dobrze, to dobrze. Pod czołg zeszli się dowódcy szwadronów. Odpawa. Jak się okazuje, przyczajone za tamtym stokiem „Panther” i „Tygrysy” pokazały, co potrafią. Straty są duże i wszyscy są małomówni. Pułk musiał być żyty. To do dnia jest pozycją straconych czołgów, dla nich — to tylu ludzi, z którymi żyto się, jak w rodzinie, w klasie, w dywizjonie.

Zbliża się wieczór. Nagotowano jakichś konserw ze świeżymi, ukopanymi obok, ziemniakami. Czołgi rozstawiają się na noc po

polu. Odnajduje jednego znajomego z Krakowa; drugiego, nie wiem już skąd. Z niskim, ruchliwym por. S. o niemieckim nazwisku jedziemy w kierunku, gdzie sztab dywizji *is supposed to be*: tam gdzieś przejeżdżali rano. Na jeppie, który mnie dowiózł za Caen, mam przecież wszelkie manele. Leica nie zastąpi mi śpiworu, żyletki i szcztolki do zębów.

Kiedy wracamy, — z kwitkiem zresztą, bo jeep pozostał pod Caen, — jest noc, ale jasna. Pod wsią dopala się, jak stos ofiarny, tamtem angielski czołg, od wschodu coraz to zapalają się pasowe „flary”; to niemiecka metoda. Z lasu za nami wytryskają dwa sine słupy w kształcie jakby litery „V”: to Angliści. Okazuje się, że major zabrał jeszcze raz czołgi i poszedł na rozpoznanie po nocy. Późno powraca.

Nacinamy sobie zboża, jak słomy, na podściółkę, załoga jakaś odstępuje życzliwie swój koc, S. — swój płaszcz, i zasypiam. Inni dawno już śpią, kto tylko mógł. Zatem jestem już pół-nogą w tym pułku. Był tak dalej!

Rozpoznanie na St. Sylvain

Żałoga por. S., z którym wieczorem jeździłem do sztabu dywizji, już przygotowała śniadanie: herbata (z puszek), chleb — rzadkość! — suchary, margaryna, jam. Są to ludzie gościnni. Noszą przeważnie kombinezony, swetry, wyglądają bardziej na szoferów i roboczarzy w naszym starym pojęciu niż żołnierzy. W ogóle w czołgach i w linii battle dress jest w zaniku. Szare zielonkawe kombinezony, spodnie i kurtka — jedna całość, albo dreluchy zupełnie do tamtych podobne, — oto właściwy mundur. Jedynie naramienniki, czasem krój kieszeni na piersiach przypominają, że to jest wojsko. Tak, czy mniej więcej tak, chodzą wszyscy, zaczynając od dowódców pułku; gwiazdki giną na tym szarym tle. Teraz, gdy tak jedzą, w polu, w zbożu, wyglądają na zespół roboczarzy. Jacyś traktorzyści, którzy zaraz zaczną robotę. Twarze są robotnicze, szoferskie. Piją z różnych kubków, jakby unikali uniformicznych manier.

O kilkanaście kroków dalej stoi czołg por. Rożka. Jego i czarnego podchorążego, który z nim razem siedzi w wieży, znam z wczoraj; mają jakby wyrzuty sumienia, że wtedy mnie nie zabrali. Moja pozycja jest też dziś mocniejsza, skoro przyjął mnie dowódca pułku. Na początek, goląc się żyletką por. Rożka i mydłem jego towarzysza, przedstawiam im możliwie wymownie, ile tracą czołgi, że żaden pisarz jeszcze nimi nie jeździł, oraz jak ogromnie wiele zyskaliby pisarze, gdyby mogli oglądać świat Boży nie tylko z okien redakcji, Strattonu, sleepingu, Dorchesteru, *Polski Walczący*, ale jeszcze i Cromwella czy Stuarta; — cóż, kiedy rutyna tych wojskowych!... A potem wymyślają, że się nie tak pisze! Gdyby ci nowi z Coëtquidanu bardziej choć rozumieć! Ale gdzie tam! Tacy sami. Wierze, że Rożek jest z Coëtquidanu. Jego szeroka twarz patrzy teraz na mnie z wyrzutem. Lubie go coraz bardziej, ale wyrzut ten mnie cieszy. Widać, że moje słowa dosyć celnie trafiły w pancerz jego oporu.

Major już jest gdzieś na przodzie. Dwa pozostałe szwadrony zbierają się pod lasem. Dowodzi tu poznany już wieczorem rotmistrz G. Nosi nazwisko ziemiańskie, znane dobrze w Lubelskim, na Wołyniu i Kieleckim (co zaraz zanotowałem sobie, jako jeszcze jeden możliwy „uchwyt”, aby się w tym pułku zahaczyć, tak samo jak to, że major jest żonaty z Wilnianką, — znam dobrze Wilno, jak to, że Rożek jest brat-łata z Coëtquidanu. Wkręcenie się do bojowego pułku w Polsce podlega niejednej z tych reguł, przy pomocy których uzyskiwano posady w Polsce, a „prace zlecane” w polskim Londynie. Tylko że starani nie przelicza się na pieniądze). Rotmistrz G. jest zresztą interesujący: Żywy czy Topolski zaraz by go rysowali. Stanowi fizyczny kontrast z moim przyjacielem, — czy mogę go już tak nazwać? — por. Rożkiem. Por. Rożek jest mocny w sobie, przysadzisty, spokojny. Rotmistrz jest szczupły, ma cienkie rysy, nerwowy. Był w Polsce świetnym kawalerzystą i ma w sobie ów sznyt kawalersko-ziemiański (w pełnym tych obu słów znaczeniu). Daleko odszedłem od ziemiaństwa, ale jakiś wspólny język z nim znajduje. Narazie rotmistrz mi wypomina moje artykuły (wojskowe, nie rosyjskie), ja tłumaczę, jak bardzo c h c e mieć przydział frontowy. Jedno nie jest oczywiście żadną odpowiedzią na drugie, ale odchodzę z — może mylnym — wrażeniem, że znajduje jednak język porozumienia z tym ziemianin-rotmistrzem. Nie; to nie jest bohater mego romansu. (Bohater mego tu-tejszego romansu, — mam go już. Od wczoraj rana). Ale jest to człowiek z gatunku mi znanego. A przy tym...

A przy tym jest strona malarska tej sprawy, i ta zawsze do mnie przemawia. Choćby teraz. Rotmistrz G. stoi teraz w polu, na stratoszonym zbożu. Przy nim oficerowie w hełmach, — ciężkie, amerykańskie hełmy czołgistów, — on bez hełmu, z gołą głową. Przed nim czołgi, — załogi w wieżach, — zaraz jedziemy. Na tym tle rotmistrz G. wygląda jak człowiek z obrazu. Jacek Malczewski. Kto w Krakowie nie pamięta tyłu, tyłu portretów, na których stary Jacek malował krakowskich hrabiów, profesorów, dentystów, adwokatów w pancerzach, których nigdy nie nosili, na tle pól, gdzie wśród snopów zboża stały jakieś chimery czy strzygi? Jacek Malczewski malowałby tak samo rotmistrza G. z jego cienką, pańską twarzą minionych światów, a za nim — te jego ciężkie, takie nie jego, czołgi.

Ale pierwsze czołgi już poszły, a ja tymczasem, myśląc o Malczewskim, wgramoliłem

się swoją drogą na czołg Rożka, — ni to w pogawędce. Por. Rożek lubi bowiem pytać — i słuchać. Czasem rzuci pytanie, na które musiałbym odpowiadać co najmniej do końca wojny. Co myślę o Rosji? Co sądzę o Kocie? Czasem są bardzo konkretne. Czy myślę, że lepszym ambasadorem w Rosji byłby zawodowy dyplomata? Rożek jest znany z tego, że zadaje wiele pytań; muszę przysiąc, że nie zadaje białych, ani plotkarskich. Nie zapyta, czy to prawda, że Publikowska żyje z majorem Cwoniem, ani czemu zawdzięczać, że żona Szczypienia dostała wcześniej porucznika od Wrażyniny. (A i takich pytań słyszy się wiele). Podchorąży nie pyta, ale słucha. Ranne wiadomości były, że Niemcy cofnęli się o parę mil, mijamy z boku Kanadyjczyków, — co będzie, to się zobaczy. Narazie jest tak, że siedzę w wieży czołgu, po stronie podchorążego, który opuścił się do wnętrza. Nogi mam opuszczone do wieży, — siedzę na jej skrajku, — w razie nierównej drogi kopię z musu podchorążego w plecy, bardzo przepaszając za każdym razem. Na ostudzenie i przynętę odpowiadam, co mam najlepszego w moim repertuarze: o Sikorskim na Kremlu, Stalinie tamże, Rosji w ogóle, dużo szczegółów. Widać, że nie wysadzą mnie w zboże w połowie tego opowiadania.

Objechaliśmy las, drogę, jakichś Kanadyjczyków, naszą piechotę: miko jest pokiwać swojakom z wysokości Stuarta! Pod lasem postój. Major, — dogoniliśmy tu, — wyjaśnią raz jeszcze sytuację na mapie. Ja przychodzę najpóźniej, nie bardzo wiem, czy mogę, czy nie, być na odprawach? — tak że poza ogólnym kierunkiem nie wiele jeszcze wiem. I zaraz z powrotem „do czołgów”! Siadam za podchorążym, jak uprzednio. Powoli wyjeżdżamy za las. Na skrajku trup niemiecki, twarzą w ziemię. Rozjechały go czołgi, hełm, ciężki hełm niemiecki, spłaszczony elipsoidalnie. Trochę paskudne uczucie. Początek, widać że coraz bliżej. Czołgi trzema szlakami wjeżdżają w pszenicę.

Cokolwiek by przyszło potem, ten jeden moment na pewno nie wyjdzie z mej malarzkiej pamięci. Ranek wczesny, taki o lekkich mgiełkach, z charakterystycznym zawalowaniem horyzontów, co zawsze zapowiada parny dzień. Kraj przede mną — pofalowany, ale łagodnie, gdzieś tam ugina się w drugi łan i tylko miedze, krzakami i drzewami porośłe, plamą monotonię. I właśnie przed nami, w dół nieco ugięte — takie olbrzymie pole pszenicy. I jakiej pszenicy! Najwspanialszej, jaką chyba widziałem w życiu. Olbrzymie, wysokie kłosa strzelają prosto, zasiane równo. Kłosa mają aż rudawe przebłyski, jak czasem wosy kobiece, są ciężkie, naładowane ziarnem, stężełe. Dawno już powinna była tędy pójść zniwiarzka, ale ludność uciekła, farmy, wsie stoją puste. Nie doczeka się pszenica zniwiarzki. Obsypuje ją wiatr. Wtrącają się w nią czołgi.

To Jan Tarnowski, pół-malarz, mówił mi o tym, że wjeżdżając w zboże, czołgi wyglądają, jak jakieś olbrzymie bawoły czy paleontologiczne potwory, które poszły się wypasać. Ach, jakie to prawdziwe! Z naszego czołgu widzę inne, jak uważnie, jeden za drugim, paroma zagonami wpierają się w nieruchomy mur tej pszenicy, grzezną w niej do połowy wysokości, brodzą jak w jakiejś płowej wodzie. Wrażenie paleontologiczne, przedpotopowe, powiększa jeszcze zupełna pustka i milczenie przed nami. Widzimy teren na kilometr i kilometr w okół, przed siebie, wszędzie — i ani śladu żywej istoty. Wciąż lekki skłon, wciąż ta dziewicza nietkniętość pszenicy i tylko za naszym przechodem szerokie się pasy znaczą. Tu uświadamiam sobie, jak bardzo jest potrzebne, aby pisarz czy malarz s a m przeżywał te rzeczy. Dla mego dowódcy w czołgu i jego załogi nie ma już nic nowego w tych wrażeniach. Dla nich jadał łanem pszenicy jest tym samym, co dla innych jadał asfaltem. Jedyna refleksja, jaką mają, to ta może, że w pszenicy, tak gęstej, mniejsza obawa o miny. (Tu dostrzeże się latwiej, że coś ruszono, wkopywano, zakładano).

W ten sposób jeżdżamy aż w dół nieco-watej, płaskiej doliny. Coraz więcej żywo-płotów i drzew, — bliski skraj horyzontu przed nami, — na lewo jakaś wioska. Dostrzegli nas: parę pocisków pada z tyłu i z lewa od nas i ciemne plamy wyrw pozostają już na dobre w płowej jednolitości pszenicy. Przystajemy za żywo-płotem. Czekamy.

W tym momencie moje marzenia czołgowe wkraczają na najlepsze drogi. Zjeżdżając czołgiem po stoku, nie tylko podziwiałem piękno pszenicznego łanu, krakajego żelazem gąsienic. Moje nogi, zwieszane do środka wieży, wybiły takt jazdy na plecach zastępcy por. Rożka, podchorążego. Był to człowiek obdarzony niewątpliwie nader łagodnym usposobieniem i bardzo wytrzymałym plecami, było jednak jasne, że będzie to miało swój kres. Ale kiedy i jaki? Wszystko wskazywało, że prędki. Przestał już nawet kwitować grzecznym słowem moje przepaszanie, nadawane regularnie za każdym nowym kopnięciem. Katakizm się zbliża. I istotnie: — Panie poruczniku, — zwraca się do Rożka, — właściwie, gdyby porucznik Pruszyński chciał, mógłby pojechać jako strzelec przedni...

Strzelec przedni? Nie bardzo wiem, co to znaczy, ale bardzo mi odpowiada ta inicjatywa. — Mógłby, — waha się Rożek, — ale co zrobimy z Semeniukiem?

— Pójdzie do sanitarek! On się zgodzi.

W czołgach są niepisane prawa załóg, mocniejsze niż rozkazy, o czym się jeszcze przekonam. Z celuści Stuarta pod nami wywołujemy Semeniuka. Otwiera swą kłapę nad głową. Okazuje się, że jest z Brygad Międzynaro-

dowych w Hiszpanii, zaczynam więc i z tej bezczki, wspominać Matuszczaka, Antka Kuchanka, Kowaczka. Milczy sceptycznie, czy ostrożnie; z tej strony nie idzie. Zda się, że należy do ludzi, częstszych niż się zdaje, w których ogień rewolucji wystygł na zupełny popiół. Już myślę, że nic nie pomoże, może sto franków? — ale okazuje się, że nie. Roztropny Semeniuk był pod Guadalajarą, był kilka lat w Legii Cudzoziemskiej, i to w zupełności zaspokoilo jego osobiste zapotrzebowanie na wojnę. Nie, nie ma nic przeciwko temu; jeśli ten porucznik chce, on, Semeniuk, wróci w tył do sanitarek, ustąpi swe miejsce.

W chwilę potem już jestem w czołgu, zapoznaję się z otwieraniem i zamykaniem kłapy, z manewrowaniem peryskopem, z karabinem maszynowym. Ostatecznie wszystkie karabiny maszynowe na świecie są do siebie w zasadzie podobne, — ten jeden ma tylko tę jedną szczególną właściwość, że nie ma celownika. Strzela się „na kierunek”, patrząc przez peryskop; świetne pociski ulatwiają celowanie. Po prawej — skrzynki z amunicją. Tędy się je ładuje. Tu się wyrzuca łuski i zużyte taśmy. Tu jest woda do picia. W tej manierze — kawa. Cenne informacje. Ludzie, myślący o odnawianiu swych sił przy pomocy jedzenia, zawsze sprawiali na mnie solidne wrażenie.

W chwilę potem kłapa zamyka się nade mną, nakładam słuchawki, — i czekam. Bardzo złożone są te pierwsze wrażenia. Z pola znalazłem się w maszynie; zapach zboża zamienił się w zapach smarów, benzyny, spalin; powiew w duszności i gorąco; jasność — w ciemności. Człowiek z trudem przyzwyczaja się do ciemności. Ale główna zamiana polega właściwie na tym, że zaczynam posługiwać się w znikomym stopniu wzrokiem, za to w nieproporcjonalnie zwiększonym — słuchem. Zasięg mego wzroku został niepomiaralnie skurczony. Widzę tylko tyle przed sobą, ile można widzieć przez prostokątną, podłużną szparę peryskopu. Jakiś ułamek ułamka. Natomiast słuch rozszerzył nieskończenie swe możliwości. Wprawdzie jest to słuch syntetyczny, sztuczny. Po prostu sieć radiowa łączy wszystkie czołgi pułku, szwadronu, plutonu, ba, łączy je ze sztabem, ze światem, z B.B.C., z Anglikami w innych czołgach o parę mil stąd, z Niemcami gdzieś przed nami. Radio gada i gada. Z bliska i z daleka. Miesza się fale, rozkazy i języki. Radio jest naprawdę wielką rzeczą w czołgu.

Ruszyliśmy, czołg się zachwiał, gałęzie leszczyny posiękły rozpaczliwie szkło peryskopu, wstrząs, i znowu jedziemy jakimś ścierniskiem. Człowiek wraża czy peryskopem w najbliższych przestrzeniach przed nami: czy te nowe zarośla w lewo nie kryją czasem czego? Instynktownie człowiek zaczyna wyczuwać, że bestia, której stał się częścią, nie cierpi właśnie takich komasz, że z ulgą patrzy się na otwarte pole. Rogacz, idący o zmierzchu do wodojemu pod lasem, musi mieć podobne niepokoję. Ale jednocześnie uchem chwytą się wszelkie rozmowy na sieci. Niestety, są one szyfrowe.

— Barbara 17, mieliście iść w lewo od Chaty. Słucham, Zygmunt.

— Dobrze, Karol, ten sam kierunek, gdy co zauważycie, meldujcie. Ominąć Hamak.

— Nelly, hallo, twenty seven, twenty seven.

I gardłowy:

— Sieben, wir kommen, wir kommen. Sieben, acht. Zehn Uhr zwanzig Minuten...

Zehn Uhr... — Hallo, poruczniku Pruszyński, słyszy pan Niemców?

To porucznik Rożek dba, abym nie stracił żadnej z wielorakich rozkoszy, jakie nastreca czołg. Już zdołałem nabrać trochę wiadomości o systemie naszego radiowego code'u, ale jednak jestem na wpół ciemny. Na tyle jednak nie, że kiedy za chwilę słyszę: — Xawery jedźcie za nami, — nie przypuszczam, żeby to odnosiło się do mnie. Skąd jednak skróty: Xawery? Po namyśle domyśliłem się. (Ciekawym, czy czytelnicy domyślą się także...).

Rusząmy jednak ostrzej w przód, trzymam silnie karabin maszynowy, oczy w peryskop, uszy w słuchawkach. Teraz wszystkie wołania obce zastąpił głos mego dowódcy, który mówi dość rozkazodawczo, jakimś podejrzanym szyfrem:

— W lewo Mikołajczyk, w lewo. Bardziej w lewo. Mikołajczyk!... Jeszcze bardziej w lewo... Jeszcze. Mówię wam na lewo, Mikołajczyk, a wy ciągle na prawo, Mikołajczyk!

Stanowczo nie myliło mnie przeczcucie, gdy mi się ten chłopak z miejsca spodobał, myślę: mówi wcale rozumne rzeczy! (Ja sam je mówiłem; tylko mniej energicznie i nie w czołgu).

— Jeszcze na lewo, Mikołajczyk, — powtarza por. Rożek i czołg skręca tym razem tak silnie na lewo, że nabijam sobie guza. Ze skreśleniem w lewo też trzeba czasem uważać. — Ale coś niecoś się wyjaśnia. Po prostu, to kierowca, mój najbliższy sąsiad, nosi nazwisko Mikołajczyk. Wskazania, udzielane przez radio przez młodego porucznika, nie były skierowane do polskiego premiera, będącego właśnie w drodze do Moskwy. Odnosiły się do innego Mikołajczyka, operującego dzielnie, ale ze spóźnioną reakcją, w lewo od drogi na Falaise.

W miarę jazdy temperatura się podnosi. Radio jest znacznie mniej szyfrowe:

— Ludwik, czy widzieliście, skąd padły te strzały? Stać i obserwować. Słucham, Zygmunt, słucham.

Przed naszym czołgiem, o mniej niż sto jardów, wybuchają naraz pociski. Artyleria, albo duży jakiś moździerz? — Widziałem błysk ognia przez peryskop, widziałem, jak wierzchołek brzozy zachwiał się i spadł; ale nie słyszałem huków. Pancerz czołgu, słuchawki — wszystko to wyłącza tego rodzaju odgłosy.

Gdyby ten pocisk padł jeszcze bliżej, ale poza polem widzenia peryskopu, w ogóle bym o nim nie wiedział.

W lewo od nas pali się stóg siana. Jest tam łąka, dotarliśmy przecież do samego dna — płaskiej zresztą — doliny. Nie wiem, czy pocisk ten stóg zapalił, nasz czy niemiecki?

— Karole, skróć ogień, czy mnie słyszysz, Karole?

— Sieben, wir kommen, wir kommen. Achtung, neun, Pankratz, Achtung, neun, Pankratz...

Znowu ten gardłowy, nieprzyjemny głos niemiecki! (Szczególnie ostro brzmi wymowa: „Pankratz”. Akcent długi na „a”, a potem na „tz”).

Tymczasem coraz częściej woła się jakieś Pawła. Wydaje się, że znam głos, który woła, — czyżby major? Tak, pewno major. Głos, który odpowiada jako „Paweł”, ze stałym refrenem: odebrałem, Paweł, odebrałem, Paweł, słucham, Paweł, słucham, — to głos por. Rożka. W istocie, wykonujemy rozkazy, nadawane dla Pawła. Podjechalśmy teraz za te drzewa w dole, zakrzewione. Wspominam rozkaz („Halo, Paweł. Czy mnie słyszysz? Zjedźcie z waszego kierunku dwieście jardów w kierunku na kanapa. Pod tamtą osłoną. Tam czekajcie. Pojedźcie na zadanie”).

— Panie poruczniku Pruszyński. Może pan kłapę otworzyć.

Uf, pięknie jest jednak na Bożym świecie, w bok od drogi na Falaise, w samo sierpniowe południe! Nosem Stuarta tkwimy w krzaku, horyzont przed nami teraz faluje pod górę, ale zawsze coś niecoś widać.

Rożek tymczasem gada długo przez radio. Po czym mówi:

— Mam samodzielne zadanie. Podjedźcie w lewo ku tamtym domom rozpoznać, czy tam jest nieprzyjaciel.

Konfrontujemy kraj i mapę. Istotnie, o milę może od nas, w samym załomie doliny widać białe ściany, czerwony dach, szare dachy, drzewa jakby sadów. Na mapie zaznaczone są czarno domki osady, znacznie więcej niż stąd możemy dostrzec — i nazwa, St. Sylvain. To St. Sylvain przylega do nieco większej wsi, stąd ukrytej za garbem i drzewami, ale widocznej na mapie. Nazywa się coś jak St. Martin des Bois. Pamiętam ją, bo rano z Rożkiem studiowaliśmy mapę i zwróciliśmy uwagę na ową St. Martin des Bois. Leży ono bowiem na lewo od kierunku, w którym idziemy, i przylega do dużych lasów, w których — jak się już wie — są Niemcy. Wedle naszej wspólnej opinii z tego właśnie kierunku można się spodziewać jakiejś niespodzianki. „Tigry” albo „Pantery” są w lasach za tym.

W chwilę później zostawiamy inne czołgi za tą osłoną i skręcamy ku St. Sylvain. Znowu wjeżdżamy w bujny, wysoki łan. Teraz jednak jestem wewnątrz czołgu i nisko. O szkło peryskopu wała teraz roztrącane kłosa, widzę, jak ziarna się sypią, furczą w powietrzu. Takie dziwne zestawienie: ten czołg taki wojenny i to ziarno złote, które na przekór wojnie ospyje się, jak przy omocie. Czołg jedzie ostro naprzód. Mikołajczyk daje dobre gazu. Tylko z kierunkiem jest niezdeterminowany. Ale gdy go Rożek naprowadził, wszystko już idzie dobrze. Skok jeden, drugi — i przed nami domy, jakieś ogrody, murki kamienne. Południe i pustka. St. Sylvain.

Jesteśmy o dwieście jardów od jego domów, podjechalśmy od strony pól. Nie widać nic.

— Kierowca, zawracać ku drodze.

Czołg zawraca w zbożu. Odjeżdżamy od wsi o jakieś dwieście jardów. W zakręcie mignęła mi w peryskopie owa droga: teraz stoimy frontem do niej. Zaraz w nią wjeżdżamy. Ale ponieważ jest niżej od pola i jest tu zjazd, Mikołajczyk uważa.

Może uważa nie tylko dlatego... Nieprzyjemna to drożka. Taki typowy, bretońsko-normandzki *chemin creux*. Jest nawet taka piosenka z refrenem: *par le chemin creux*. Ładna, sentymentalna piosenka. Ale z czołgu *chemin creux* wygląda mniej pończotnie. To droga, włożona w grunt, jak koleina. Jak mały jar. I z obu stron obrośla krzakami. Człowiek w czołgu nie lubi krzaków.

— Gazu, Mikołajczyk! Prosto tą drogą!

Mikołajczyk daje istotnie gazu mocno. Już jesteśmy w drodze. W peryskopie z boków zachwiał się krzak, roztrącane Stuartem. I naraz, w tej wąskiej szparce peryskopu, wskakuje na drogę coś, co nie jest krzakiem. Czerwony, opalony kark, włosy podgolone. Plecy w zielonkawej, nie naszej kurtce, przekreślone na X szelkami. Buty wysokie. Jeden, drugi, trzeci. Pozeskakiwali z tych krzaków, plecyma do nas. Niemcy!

Nie ma niczego bardziej automatycznego nad to, że czołg zaczyna się trząść od huku. Działko, dwa karabiny maszynowe, to zupełnie dosyć. Jest tylko ten huk, pierwszy huk, jaki zagłuszył motor, dym odpaleń, kurz na drodze. Nigdy nie widziałem jeszcze tak z bliska padającego człowieka. Jakby go w kolanach sznurkiem ściągnięto.

— W tył!

Znowu jesteśmy na polu. St. Sylvain znowu przed nami. Jakie dalej ciche! Teraz wiemy.

— Ognia po tych krzakach!

Naciskam spust, jak przed chwilą, ale mniej automatycznie. Wtedy cel był przed nami. (Co za durnie, mówi każdy z nas do siebie, że nie wytrzymali! Po tych skrajach drogi, wyższych nad drogę, w krzakach, nigdy byśmy ich nie byli dostrzegli. Mogli nas mieć, jak nie, mogli się skryć, przesiedzieć. Wbiegli nam wprost na strzał. Nerwy). Dziwnie są te pierwsze refleksje. Ma się prawie pretensje do Niemców.

Wjeżdżamy w tamto zboże, bliżej do wsi. (Dokończenie na str. 11-ej)

OPINIE ANGLIELSKIE

Francja widziana z Anglii

Gerald Barry, naczelny redaktor *News Chronicle*, ogłosił w swym piśmie trzy artykuły p. t. *Report on France*. Są to jedne z wielu artykułów, jakie się na temat Francji ukazywały w prasie brytyjskiej, a w miarę, jak znoszone będą utrudnienia paszportowe i podróże, będzie tych artykułów o Francji jeszcze więcej. Chwilowo wyjazd do Francji jest dozwolony tylko dziennikarzom w mundurze, ale ten stan rzeczy nie może trwać długo. Francja interesuje Anglików nie tylko jako teren działań wojennych, ale także jako teren pasjonujących możliwości politycznych i społecznych. Artykuły Geralda Barry ważne są i ciekawe właśnie jako jeden z pierwszych raportów nie wojskowych. Nie będą streszczać jego oceny sytuacji obecnej. Szybko zmieniała rzeczywistość polityczna Francji mogłaby łatwo sprawić, że zanim słowa te dojdą do Palestyny, będą już przebrzmiały. (Dla przykładu: Gerald Barry mówi o konieczności surowej akcji przeciwko kolaboracjonistom. Od chwili ukazania się jego artykułów odbyły się już trzy procesy, z których dwa — George Suarez i hrabia Chastenot de Puységur — zakończyły się wyrokami śmierci). Ważną pozostaje natomiast jego ocena sytuacji ogólnej.

Świat patrzy dzisiaj na Francję nie tylko jako na obraz odrodzenia wielkiego narodu politycznego. Francja jest także symbolem i próbą dla innych europejskich spraw. „Świat zachodni szamota się, aby znaleźć równowagę pomiędzy osobistą wolnością (tym co nazywamy demokracją polityczną) a koniecznością nowego ładu gospodarczego. Czy człowiek może zatrzymać swą wolność osobistą a równocześnie zdobyć nową wolność społeczną przez utworzenie właściwej organizacji naszego złożonego, współczesnego życia gospodarczego?”

We Francji, która jest nie tylko ojczyzną Wielkiej Rewolucji, ale która przodowała zawsze w każdym postępie ludzkiej myśli, waga się te problemy, jak w gigantycznej próbie. Co zobaczymy, gdy opadnie mętny osad, kotłującej dziś jeszcze rzeczywistości? Czy będzie to Francja rozdarta i poniżona — taka, jaką chcieli ją mieć Niemcy — czy też będzie to Francja buntownicza i rewolucyjna, krocząca na czele postępu? Nie jest to tylko sprawa Francji! Na szali waga się, czy wojna ta — mimo górnolotnych haseł — okaże się tylko wojną o egoistyczne cele narodowe, o takie czy inne granice, dyktowane łapczywością i siłą, czy też — jak sądzi Gerald Barry — „odkryjemy, że Europa kontynentalna uważa tę wojnę za wojnę pomiędzy szarym człowiekiem (*the common people*) a reakcją”.

Dr William Temple

Śmierć prymasa Anglii, arcybiskupa z Canterbury, dra Williama Temple, jest nie tylko dotkliwą stratą dla kościoła anglikańskiego, ale także ciosem politycznym o dużym znaczeniu. Mimo woli nasuwa się porównanie ze stratą, jaką poniosła Ameryka przez śmierć Wendell Willkie'ego. Wprawdzie zarówno przeszłość obu postaci, jak i ich ambicje biegną po odmiennych płaszczyznach, ale polityczna implikacja przedwczesnej śmierci ich obu może mieć podobne znaczenie dla Anglii i dla Ameryki.

William Temple, prymas i syn prymasa, był wybitną polityczną figurą. Nie w znaczeniu, jakie my w Polsce słowo „polityka” przepisywaliśmy, — polityka zagraniczna go nie interesowała — ale dlatego, że walczył przez całe życie o sprawiedliwość społeczną, która jest u podstawy moralności, z której wszelka polityka wypływać powinna.

Jako arcybiskup Manchesteru wszedł do Izby Lordów. O tym okresie jego działalności pisze *The Times*, że „Izba Lordów niezbyt chętnym okiem patrzyła na tego arcybiskupa, który był swego czasu członkiem Labour Party, który nie tail tego, że jest socjalistą, który nie nauczył się jeszcze mówić tonem, jaki odpowiada ich lordowskiemu męstwu, i którego podejrzewano o niezdrowe poglądy na dwie zasadnicze sprawy: wychowanie i przedsiębiorczość prywatną”. Socjalistyczny arcybiskup! Brzmi to niemal jak herezja, jednak w Anglii to nie razi. Wręcz przeciwnie! Gdy w lutym 1942 r. otworzył się wakans na stolice arcybiskupa Canterbury, z którą związane jest stanowisko prymasa Anglii, nominacją dr Temple była tak oczywista, że nawet ultrakonserwatywny Churchill nie widział innego kandydata.

Już w czasie obecnej wojny — jako arcybiskup Yorku — wydał dr Temple nakładem Penguin książkę p. t. *Christianity and Social Order*, która „nie miała być wyrazem osobistego credo, ale miała przedstawić główne linie chrześcijańskiej doktryny społecznej”. Ta książka doczekała się popularności, jakiej zwykle nie osiągają wypowiedzi dygnitarzy kościelnych. Zawiedowała ona nie tylko „pod strzechy”, ale także do każdego niemal tornistra żołnierskiego i głęboko zaważyła na angielskiej myśli społecznej. W r. 1941 był dr William Temple duszą kościelnej konferencji w Malvern, która te jego idee społeczne entuzjastycznie zaakceptowała.

Wychodząc z założenia, że nasz system ekonomiczny jest nie tylko marny, ale że w ogóle nie działa, uważał dr Temple, że tylko taka filozofia społeczna, w której ludzie — a nie towary — są rzeczą główną, może odbudować porządek społeczny. Stanie się to w miarę jak odpowiedzialność i możliwości, wynikające z posiadania własności prywatnej i kontroli nad dobrami, staną się udziałem wszystkich, a nie — jak to jest obecnie — tylko mniejszości; gdy zasada sprawiedliwej ceny za towary i usługi zostanie znowu wprowadzona; gdy rozróżnienie pomiędzy produktami a nie produktami kredytami zostanie ustalone, a odsetki od tych ostatnich — t. zn. lichwa — obalone.

Jako prymas dał dr William Temple niejednokrotnie wyraz swym poglądom. W r. 1942 powiedział na zebraniu *National Trade Union Club*: „Zło pobudki zysku leży w tym, że jedyną miarą, przykładaną do przedsiębiorstwa, jest to, czy jest ono zyskowne, a takie podejście nie tylko krzywdzi konsumenta, ale doprowadza do przyjęcia poglądu, że tylko niewielu ludzi może działać z mniej egoistycznych pobudek”.

Znane są jego wystąpienia przeciw systemowi bankowości prywatnej, które wywołały bardzo ostre głosy oburzenia na prymasa ze strony prawnicy. Hannen Swaffer, znany dziennikarz socjalistyczny, opowiadał wówczas następującą anegdotę: pewien poseł konserwatywny, którego Swaffer

spotkał w Izbie Gmin, był bardzo rozczulony na prymasa i powiedział: „Wydaje mi się, że będziemy mieli z nim kłopot!” Na co Hannen Swaffer miał odpowiedzieć: „*It would seem that you want to drive the Temple out of the money-changers*”...

W latach, które przyjdą, gdy walka o zasady zastąpi walkę, którą toczymy o życie, zabraknie Anglii bardzo dr Williama Temple.

Public Schools

Ustawa o reformie szkolnictwa, wynik trzyletniej pracy brytyjskiego ministra oświaty, R. A. Butlera, uprawomocniła się parę dni temu, gdy w Izbie Lordów z całym średniowiecznym jej ceremoniałem wypowiedziano cztery francuskie słowa — także tradycja, wywodząca się aż z czasów Wilhelma Zdobywcy — „*le Roy le veult*”. Prawie równocześnie ogłoszono raport komisji Fleminga: „*The Public School and the General Educational System*”. (Public School i ogólny system wychowawczy). Public Schools są tak typowo angielską i tak specyficzną instytucją, że nie podciągano jej sprawy pod wspólny mianownik reformy szkolnictwa, lecz usiłuje się je zreformować jakby na marginesie tamtej, ogólnej ustawy.

Co to są Public Schools? Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że Public School nie jest wcale szkołą publiczną. Wręcz przeciwnie. Są to szkoły bardzo ekskluzywne. A nazwa...? Ktośby się martwił w Anglii nielegisłacyjną nazwą, skoro ufundowana jest ona na solidnej podstawie tradycji. (Eton College zostało założone w 1440 roku dla „70 biednych studentów, 10 kleryków, 10 pisarzy, 10 kapłanów, 16 chórzystów i 13 ubogich kalek”, a szkoła w Winchesterze w 1382 r. jako „kolegium ubogich kleryków-studentów miasta Winchester”). Public School nie jest szkołą publiczną, ale nie jest także szkołą prywatną. Są to przeważnie szkoły, prowadzone na zasadach fundacji. Są to internaty dla młodzieży męskiej i żeńskiej w wieku od lat 13, choć gdy pada słowo „public school”, w pierwszym rzędzie myśli się o szkołach dla chłopców. W Anglii istnieje razem 188 takich Public Schools. Z tego 89 jest niezależnych, a reszta jest subwencjonowana przez państwo. Z tych szkół tylko część jest na odpowiednim poziomie. Bardzo wiele szkół vegetuje z braku funduszy, uczniów, nauczycieli i t. p. Choć niektóre z nich są bardzo drogie, nie są to szkoły luksusowe. Przeciwnie, młodzież chowana jest bardzo po spartańsku (w złym tego słowa znaczeniu), często niedożywiana, surowo cieleśnie karna i t. d.

Głównym zarzutem, jaki lewica stawia Public Schoolom, jest ich ekskluzywność. Szkoły dla bogatych! Fabrykacja klasy rządzącej! Inkubatory reakcji! Te zarzuty — jak wszystkie slogany — są bardzo powierzchowne. To prawda, że Eton, czy Harrow, czy Rugby, czy Winchester są szkołami drogimi i bardzo ekskluzywnymi, ale większość tych szkół jest przeznaczona dla dzieci, pochodzących z klasy średniej. Dla ludzi średnio zamożnych, którzy pragną zapewnić swym synom lepsze możliwości posady. A co się tyczy ich reakcyjności... To prawda, ale także niezupełna. Wystarczy przytoczyć, że wychowankami Public School byli Sir Stafford Cripps (Winchester), komunistyczny poseł D. N. Pritt (Winchester), I.B.S. Haldane (Eton), Attlee (Haileybury) i wielu innych.

Jeśliby zaś zbadać uważnie curriculum tych szkół, to okazałoby się, że wiele z nich nie odpowiada najbardziej prymitywnym wymaganiom współczesnej pedagogii. Wątpię, czy istnieją w Anglii szkoły takie jak ta, którą opisał L. F. Celine, ale wiem, że istnieją szkoły, do których za żadną cenę nie posłałbym mego syna.

O cóż więc taki gwałt? Jeśli bogatym snobom odpowiada ten sposób wychowania dla ich dzieci, Bóg z nimi!

Sprawa ma jednak jeszcze inny aspekt. Nie ulega wątpliwości, że Public School nawet gdy nie kształci dostatecznie umysłu, czy jeśli ma inne wady pedagogiczne — wytwarza pewien typ człowieka i pewną postawę życiową, która jest charakterystyczna dla Anglii. Symbolem ich są te dwie typowe angielskie cnoty: opanowanie i *team spirit*. Cnoty, które są niewątpliwie jednym z fundamentów wielkości Anglii. „Skąd się bierze powszechność tego typu człowieka w Anglii? Public School nie jest przecież tak powszechna, aby mogła wykształcić wszystkich Anglików” — spyta. Pochodzi to stąd, że nawet ci, którzy nie wyszli z Public School, starają się podciągnąć do tego poziomu. To jest źródło — ale także wynik — snobizmu jakże trafnie charakteryzowanego przez „*Snobizm a postępek*” Żeromskiego.

Raport Fleminga proponuje zachowanie Public Schools przy równoczesnym ich upowszechnieniu. Do 25% miejsc ma być zarezerwowanych dla stypendystów. W zamian za to Public Schools dostaną pomoc i kontrolę Ministerstwa Oświaty. Jest to więc znowu kompromisowe załatwienie. Ale czy można było rozstrzygać tę sprawę inaczej niż kompromisem, gdy nawet lewica nie była jednolita w swej opinii. Bertrand Russell w *Reynolds News* domaga się zniesienia Public Schools w artykule p. t. „*A waste of Public Money*”, a Tom Driberg na innej stronie tego samego pisma pisze: „Nie chcemy obalić Public Schools. Chcemy tylko, aby były publiczne”.

„Heute gehoert uns Deutschland,
morgen die ganze Welt!”

Bardzo przejmującą fotografię pokazały niedawno wszystkie gazety angielskie. Czterech niemieckich chłopaków z Aachen — trzech bracia: Willy (lat 14), Bernhard (lat 10), Victor (lat 8) Etschenburgowie oraz Hubert Heinrichs (lat 10) — pojmanych w chwili, gdy z dwu karabinów strzelali do żołnierzy amerykańskich.

Najstarszy i najwyższy — Willy, krepy chłopak z rozczochranymi włosami, patrzy smutno, ale nie zawzięcie. Był członkiem *Hitler-Jugend*. Obok stoi jego brat, Bernhard. Raczej sympatyczny chłopczyk. Dziecinnie uśmiechnięty, ręką nonszalancko w kieszeni. Trzeci w rzędzie, to Hubert Heinrichs, w narcyjskich spodniach, w ciemnym swetrze z jasnymi szelkami na wierzchu. Jedyny jasny, germański blondyn w tej grupie. Ładny chłopak, nawet bardzo ładny. Tylko usta zaciśnięte i oczy, zawzięcie przymrużone, pełne są zimnej, nie dziecięcej wściekłości. Czwar-

ty to Victor, zastraszony dziecko, któremu wyraźnie zbiera się na płacz.

Fotografia jest przejmująca, bo uzmysławia nam sobie, patrząc na nią, że te dzieci to... Chciałem powiedzieć „niedozri mordercy”, ale nie! Sprawa nie jest tak prosta. Czy mój ośmioletni synek, albo Twój syn, Czytelniku, nie strzelałby tak samo z entuzjazmem do Niemców, gdyby miał po temu sposobność, i czy — bez drillu *Hitler-Jugend* — nie uważałby tego za byczą zabawę? Nie mówilibyśmy o naszych dzieciach „niedozri mordercy”, ale we wszystkich Ikacach Zjednoczonych Narodów wynosilibyśmy pod niebiosa „młodocianych bohaterów”.

Nie! Dzieci z tej fotografii może są tak samo dziecinne i tak samo niewinne jak mój Macuś czy Twój Jurek, Czytelniku. „Są może...” Powiedziałem „są może...”, bo gdy w wypadku naszych dzieci mam pewność niewinności, to w wypadku dzieci niemieckich mimo woli nasuwa się porównanie z amerykańską sztuką wystawianą obecnie w Londynie. „*To-morrow the World*”, brzmi tytuł sztuki, napisanej przez amerykańską spółkę autorską James Gow'a i Arnaud d'Usseau. Treść jej jest następująca.

14-letni chłopak niemiecki, Emil Bruckner, sierota, którego ojca, słynnego uczonego, zamordowali hitlerowcy w Dachau, przejechała do Ameryki i zamieszkuje w domu brata swej zmarłej matki, Amerykanki z pochodzenia. Jego wuj, Michael Frame, jest wdowcem i ma 12-letnią córeczkę.

Tych dwoje dzieci to kontrast pomiędzy demokracją Ameryką a hitlerowskimi Niemcami. Dziewczynka jest pogodna i dziecinna. Chłopak jest pełen kompleksów, przejęty sloganami hitlerizmu i usiłuje działać na rzecz Niemców w sposób naiwny i jakby żywcem wyjęty z najgorszych powieści detektywistycznych. Ma pewne dziecięce odruchy jak np. marzenie o zegarku z fosforującymi wskazówkami, ale poza tym jest nieludsko poważny i, jak dorośli Niemcy, bez poczucia humoru. Jego idee fixe, walka, wyraża się w szpiegowaniu na rzecz Niemiec. Od chwili przybycia do domu wuja ta mania szpiegowska jest alfa i omega jego zainteresowań. Wychowanie hitlerowskie zrobiło z tego dziecka automat, poruszający się i myślący ściśle według wykresu, zaplanowanego przez wychowawców. Mały Emil Bruckner nienawidzi swego ojca, zdradając wobec Trzeciej Rzeszy, nienawidzi narzeczonej swego wuja dlatego, że jest Żydówką; wie, że w niższej i głupotą Amerykanów, bo są niższą rasą niż Niemcy; jest bezwzględny i okrutny. Ma swój dziecinny kodeks honorowy, — i to jest jeszcze jedną z jego dziecinnych cech, ale jest on zniekształcony ideologią, którą wpajano mu od najmniejszych lat.

Nieludsko, z zimną krwią zabija psa, którego szczenię przeszkadza w śnie starej ciotce, obrabnej przezeń za najgodniejszy obiekt miłości. Gdy jego kuzynka, mała Patrycja Frame, odkrywa jego szpiegowską działalność, bez chwili wahania usiłuje ją zabić i nie ma potem wyrzutów sumienia, a tylko lek wytopionego zwierzęcia.

Emil Bruckner załamuje się wprawdzie w końcu. Jego wiara w Hitlera i w wyższość niemieckiej rasy doznaje silnego wstrząsu, ale widzę wychodzi z teatru nieprzekonany w szczerotę i trwałość tego nawrócenia. Nie było to zresztą zamierzeniem autorów. W pewnej chwili ktoś mówi na scenie (cytuje z pamięci): „Jest 12 milionów takich dzieci w Niemczech i nie można ich wszystkich wytypić. Trzeba więc próbować je wychować. I chociaż nieraz wątpimy w skuteczność naszej pracy, nie wolno nam jej zaniechać. Każdy przebieg dziecięcości powinien nam być zachętą i nadzieją, że nie wszystko w tych dzieciach zostało zdeprawowane”.

Pisałem poprzednio parokrotnie o Niemcach i pomijałem przy tym kwestię reedukacji. Balem się tego tematu i problemu, którego rozwiązanie nie widzę. Nie chciałem powtarzać argumentów — pro i contra — które mnie nie przekonały. Ale właśnie dlatego warto było — mam wrażenie — opisać epizody. Prawdziwy — braci Etschenberg i Heinrichsa — oraz fikcyjny — małego Emila Brucknera.

Geny — sekret życia

Hitler obiecał swoim Niemcom millenium szczęśliwości. Inni politycy, zachwalając błogosławieństwo swych rządów, mierzyli skromnie, bo na *peace in our time*, t. j. mniej precyzyjnie, ale krótszy okres czasu. „Szczęśliwość” jest określeniem bardzo subiektywnym i nie bardzo ścisłym, ale wiemy, że dla polityków oznacza ono w pierwszym rzędzie dobrobyt materialny. Jeśli skonfrontujemy przyrzeczenia polityków, a nawet ich osiągnięcia, — jakże małe i zawsze dokonywane kosztem krwi przelanej, — z osiągnięciami naukowców to... mój Boże, nie ma porównania.

Dokonano niedawno wielkiego odkrycia naukowego. Doniosłego i które rozciąca przed nami szerokie widnokręgi. Tym razem nie w technice, ale w biologii. Mam na myśli naukę o genach i pierwszą jaskółkę jej praktycznego zastosowania: *colchicine*.

Kiedyś jakieś 80 lat temu mnich czeski Mendel opisał swe doświadczenia botaniczne nad skrzyżowaniem czerwonego i białego groszku i sformułował swą teorię dziedziczności, stał się pośmięwiskiem ówczesnego świata naukowego. Z początkiem obecnego wieku „odkryto” teorię Mendla na nowo, ale dopiero badania nad „olbrzymimi” chromozomami muszki *drosophila* rozjaśniły dostatecznie sprawę dla świadomej spekulacji naukowej.

Zarówno w świecie zwierzęcym, jak i w świecie roślinnym żywa tkanka składa się z komórek. Każda komórka posiada swoją określoną dla każdego gatunku liczbę chromozomów. Chromozomy zawierają geny. Ciało ludzkie np. składa się z mikroskopijnych komórek, z których każda zawiera 48 chromozomów. (Wyjątek stanowią komórki spermy męskiej i kobiecego owum, które mają tylko po 24 chromozomy). Te chromozomy zawierają geny, — sekret życia! Nie wiemy, ile rozmaitych genów jest w człowieku. *Drosophila*, mała muszka, której olbrzymie chromozomy naprowadziły uczonych na trop genów, — ma ich około 3000. Mechanizm działania genów nie jest jeszcze znany, wiemy jednak, że regulują one wszystkie charakterystyczne cechy żywych organizmów. Wiemy np., które geny muszki *drosophila* regulują kolor oku, rozpiętość skrzydeł, obręcz tuiowa itp. Niszcząc niektóre geny promieniami Röntgena, możemy spowodować zmiany w kształcie

lub innych cechach *drosophila* już w następnym pokoleniu. Te zmiany są stałe i dziedziczne. A że *drosophila* rozmnaża się bardzo szybko, co 12 dni jedna generacja, więc jeden rok hodowli *drosophila* odpowiada tysiącleciu rozwoju człowieka. Teoria ewolucji w probówce! „Siódmego dnia Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo”, a człowiek stworzył w XX wieku inne istoty żywe według swojej woli!

Prawie każda cecha dziedziczna człowieka zależy od genów. Chwila zapłodnienia decyduje o całym przyszłym życiu. Jeśli geny, zawarte w 24 chromozomach spermy i w 24 chromozomach owum, połączą się, a z tych komórek przez podział rozrośnie się skomplikowany ludzki organizm, to geny, zawarte w owych 48 chromozomach matki i ojca, nadają życiu ludzkiemu i ludzkiemu ciału jego przyrodzone cechy: rok, w którym mężczyzna przejdzie mutację, rok, w którym wyłysieje, rok, w którym choroba dziedziczna się ujawni i t. d.

Pierwszym praktycznym zastosowaniem tego odkrycia naukowego jest colchicina. Jest to gorzka i trująca substancja, odkryta w r. 1937 w korzeniach jesiennych krokusów. Ma ona cudowną własność pomnażania chromozomów. Roślina, do której wtarto lub zastrzyknięto roztwór colchiciny, podwaja nieraz ilość chromozomów wszystkich swych komórek. Jest to także proces ewolucji. Przyspieszony i działający według ludzkiej woli.

Przesadzono, niestety, w prasie wyniki, jakie dawał zastrzyk colchiciny. Rozgorączkowany reporterzy zrobili z niej cudo, które zdolne jest stworzyć gigantyczne zboże, jarzyny, owoce, kwiaty i t. p. Prawda jest skromniejsza, ale nie mniej sensacyjna.

Od lat ogrodnicy krzyżowali rośliny, aby uzyskać doskonalsze okazy. Niestety, rośliny przeważnie w ten sposób wyhodowane, były jałowe. Dzięki colchicine możemy podwoić ich chromozomy. Każdy chromozom znajdzie wówczas swoją parę i roślina będzie się normalnie rozmnażała. Zastosowano to już z powodzeniem w całym szeregu roślin z cudownymi wynikami.

Uczni dali ludzkości do rąk nowe odkrycie, ułatwiające życie i niosące ze sobą zarodek wielkiej szczęśliwości. Miejmy nadzieję, że politycy i tego odkrycia nie zdeprawują.

Brains Trust

Najbardziej popularnym programem radiowym B.B.C. jest dzisiaj Brains Trust. Raz w tygodniu zaprasza B.B.C. na 45 minut pięciu wybitnych Anglików, którzy bez poprzedniego przygotowania odpowiadają na pytania, przesłane przez radiosłuchaczy. Odpowiedź przeważnie przetrza się w dyskusji między członkami Brains Trustu, a ta dyskusja ma bardzo często dydaktyczne podłoże. Członkami Brains Trustu są ludzie bardzo poważni. Profesorowie uniwersytetów, wybitni politycy, wojskowi, lekarze, dziennikarze i t. d. Niemal stale bierze w nich udział C. E. M. Joad, bardzo popularny filozof, Julian Huxley, znany przyrodnik, i wielu, wielu innych, których nazwiska zawsze coś znaczą. (Czy wielu Polaków „na stanowisku” zgodziłoby się zaryzykować coram publico swą reputację w imprezie, która jest oficjalnie tylko popularną imprezą rozrywkową?)

Pytania, stawiane Brains Trustowi, bywają rozmaite, ale nigdy polityczne. Czy naprawdę nigdy? Dzisiaj, przed godziną, słyszałem odpowiedź na pytanie: „Co jest lepsze, proporcjonalny system wyborczy, czy system angielski?” Czytelniczy „Opinii” przypominają sobie może, że omawiając implikacje wyborów dodatkowych w mieście Skipton, zwróciłem uwagę na coraz donośniejsze głosy, wzywające do zerwania obecnego rozejmu partyjnego. Vox populi, zwłaszcza pośród popleczników Labour Party, jest bardzo zdecydowany w tej sprawie i nie można wykluczyć jakichś gwałtownych zmian w ustosunkowaniu się Labour Party do rozejmu. Wielu mówi nawet o tym, że obecna kadencja Izby Gmin będzie ostatnią — wojna czy nie wojna. W tym świetle dzisiejsze pytanie, a zwłaszcza odpowiedź, miały niewątpliwie swój cel dydaktyczny i polityczny.

Bardzo często członkowie Brains Trustu nie umieją odpowiedzieć na zadane im pytania. Wypływają się wówczas żartem lub uczciwie przyznają do niekompetencji. Najbardziej kłopotliwe pytania stawiają dzieci. „Dlaczego gwiazdek gwiazdek?” zapytał bliźniacy z Buckinghamshire. Na to pytanie powagi Brains Trustu nie znalazły odpowiedzi. Nie znali także odpowiedzi na pytanie, postawione przez bardzo poważną osobistość, przez kogoś, tak wysoko postawionego, że nazwisko pytającego nie zostało ujawnione przez B.B.C. Pytanie brzmiało: „*How did the Italians come to be known as Wops?*” (Pytającym, jak fama głosi, była para królewska!).

Jacy dziwni są Angliki! Czy u nas dygnitarz państwowy zadaby sobie trud i czy uważałby za odpowiednie dla swej godności, aby napisać kartkę z tak banalnym pytaniem? Jacy dziwni są Angliki i jacy niepoważni... Choć czasami myślę sobie, że może to my jesteśmy sztuczni, a oni tylko bezpośredni.

H. S. Dominik

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”

ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

TEODORA PARNICKIEGO

SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

Włodzimierz Malacki — Z prasy obcej

Jean Malaquais

(Dokończenie ze str. 4)

najeżone druty kolczaste obozów koncentracyjnych i wyrzucanych poza granicę obywateli. Tych samych, którzy Francję po ostatniej wojnie odbudowali z zapalem, jak druga ojczyzna.

Zamykane zakłady pracy. Robotnicy, toczeni rakiem nędzy. Bezrobocie, wyzysk. — A łuna bije pod niebo z kominów fabrycznych Niemiec.

Maniek Bryła Malackiego opuszcza Polskę na gapę; pod wagonem kolejowym, z Dworca Głównego w Warszawie. I Maniek Bryła jest ostatnią postacią na zamkniętej kopalni. Szukał pracy, przyszył żołnierz polski na ziemi francuskiej. Nie znalazł jej. — *Indésirable*. Ale zostają tam z nim i upór, i duma, i zdziór.

Conrad-Korzeniowski dał Anglii całą szlachę nobliwosć Polaka, dyskretną zadumę i głębokie poczucie godności, tak świetnie wrośnię w męskie tragedie żeglarstwa i w ciężkie życie budujących swą wielkość wyspiarzy.

Malacki daje Francji czerwoną, tętniącą życiem, świeżą krew dzieci Warszawy, jej Batalionów Robotniczych, jej Starzyńskich, Nie-działkowskich, i — krew walczącego ghett'a.

W *Le Peuple*, w roku 1938, pod *Les Javanais* widniało jeszcze nazwisko — Włodzimierz Malacki. Na książce o tym samym tytule, drukowanej w roku 1939, czerwone czcionki wybiły — Jean Malaquais. — Pamiętam, Włodku, coś pisał do mnie. Narzucono ci zmianę nazwiska.

Pamiętasz, Włodku, wiosnę w Warszawie? — Słońce wyszło zza chmur, ciepło, roześmiane. Na ulicy sprzedają już wodę sodową i lody. Na placu Muranowskim trawa rośnie, kwitną klony. I ziemia pachnie odurzająco. Z domów spływa ostatni, szary oddech zimy. Wyjeżdżają tramwaje, malowane na czerwono. Wesoło brzmi dzwonek pod nogą motorowego. — Idziemy na węgry. W kierunku Dworca Gdańskiego toczy się drynda. Na koźle „sałata”, warszawski „dzieliworek”. Chyćmyśmy za budę dorożki i jazda, — na Wisłę!

Świat, dorożka naszej młodości. Gdzie jesteś, Włodku? W którą stronę pędzi teraz inny, cięższy zapewne i bardziej groźny pojazd twoich fantazji i niepokojów? Seweryn Zilberman

Wspomnienia normandzkie

(Dokończenie ze str. 9)

Strzelamy dalej. Od działka zakurzył się tamten dach. Widać, jak podskakują wylupione wystrzałem czerwone dachówki. Ale inne wrażenie jest bardziej przejmujące. Sam nawet nie wiem zrazu, choć poczułem tę dziwność jeszcze tam, nim ten Niemiec się zważył. Coś tak dziwnego... Co? Ach...

Tak. Na drodze nie było to tak przejmujące. Po pierwsze była walka. Po drugie nie było zboża. I ziarna. Asocjacja przedziwnych wrażeń powstaje dopiero teraz, gdy brodząc przez pola pszenicy, otwarłszy ogień do tej wsi, widzimy w szkłe peryskopu, jak nasze pociski lecą przez powietrze...

Widzieć lot kuli? Literacka imaginacja? Skąd! Po prostu — techniczny postęp. Przecież pociski karabinu maszynowego są świetlne. Widać idealnie lot każdego z nich, jak takiej złotej, świetlistej pszczoły, która leci lekko elipsoida, a za nią trzecia, dziesiąta, piętnasta. Jak z ulla. Cały rój.

I właśnie te świetlne pociski kojarzą mi się jeszcze z czymś innym. Z ziarnem. Tak samo, podobnie, ziarna przejrzałej pszenicy tryskały z roztrzaskanych czołgów kłosew, bijąc o szkło peryskopu. Za chwilę, jeśli podjedziemy tym polem dalej, jeśli nie przerwiemy ognia, będzie się to synchronizować razem. Jakby dosłyszawszy tę refleksję, Mikołajczyk znowu daje gazu. Coś się poruszało w tamtych opłotkach. Naciskam znowu spust. W szklanej szczelinie peryskopu mieszają się teraz i tańczą świetlne pociski cekaemu i złote pociski ziarna. I jest jakaś bolesna, niesamowita asocjacja w tym podobieństwie rzeczy, co niosłyby życie, i rzeczy, co niosą śmierć.

Poprzez rozpoznanie w St. Sylvain, tę zasadzkę nieudaną niemiecką, te trupy w *chemin creux* i całe późniejsze popołudnie i wieczór — tamto wrażenie owego tańca ziaren i kul pozostaje najsilniejsze. Nic go już nie zatrze. (Zresztą potem było inne zadanie, gdzieśmy stali raczej z flanki, za słońcem, gdy Cromwelle podeszły pod wieś, spod której musiały odejść).

Był już zupełny zachód, gdy zawracaliśmy na noc. Czołgi zbierały się przed jakąś pustą, zieloną farmą, jechały po kolei, mówiono o stratach. Otworzyłem kłapę. Było przyjemnie odetchnąć.

— Ale ziaren tu naleciało, — dziwiłem się. W każdym załomie czołgu, z zewnątrz, leżało tego pełno.

— Nie tylko ziaren, — uśmiechał się porucznik Rożek, — także i takich rzeczy...

Tuż nad moją kłapą, przed wieżą, leżał podłużny, wypolerowany wybuchem, odłamek pocisku.

Kiedy mógł się tam dostać, — nie wiedzieliśmy. Czołg ma świadomość tylko takich pocisków, które trafiają wprost w niego.

Owej nocy, pod czołgiem, w bok od drogi, spaliliśmy dobrze pomimo artylerii.

Ksawery Pruszyński

Rozmowa ze Stalinem

Październikowy *Reader's Digest* (wydanie Środkowego Wschodu) przynosi ciekawe sprawozdanie E. A. Johnstona, prezesa Izby Handlowej U.S.A., z rozmowy, jaką odbył na Kremlu ze Stalinem. Podajemy z niej kilka fragmentów:

— Stany Zjednoczone bardzo pomogły przemysłowi sowieckiemu, — powiedział marszałek. — Wiele z potężnych zakładów przemysłowych Związku Sowieckiego zostało zbudowanych z pomocą amerykańską i przy wyzyskaniu amerykańskich doświadczeń.

— Zauważyłem to, marsz. Stalinie, — odpowiedziałem. — Widziałem wiele amerykańskich maszyn, amerykańskiej techniki, amerykańskiego montowania. Zaczepniście bardzo dużo z doświadczenia amerykańskich inżynierów.

Ale marnotrawicie jeszcze siłę roboczą — ciągnął dalej. — W waszych straszliwie natłoczonych miastach ludzie stoją w długich ogonkach dla kupna żywności. Jest to marnotrawienie ludzkiej energii, której wam tak bardzo potrzeba. Potrzeba wam lepszego rozdziału towarów dla osiągnięcia lepszej wydajności. Wezwaliście amerykańskich inżynierów, specjalistów od produkcji. Czego wam teraz potrzeba, to amerykańskich doradców technicznych w sprawach rozdziału...

— Ba, — oświadczył on, — na to, aby rozdzielać, trzeba mieć co do rozdzielania.

— Będzie pan miał co do rozdzielania po wojnie, — odpowiedziałem.

— Skąd pan to wie? — zapytał.

— Ponieważ — odpowiedziałem — produkcja dóbr konsumpcyjnych zawsze wzrasta po wojnach. Niech pan sobie tylko przypomni, że po wojnach napoleońskich wielu Anglików sądziło, iż kraj ich jest zrujnowany, podczas gdy w rzeczywistości Anglia stała u progu ery dobrobytu bez precedensu w ciągu wieku względnie niezakończono pokoju. Mając dłuższy okres pokoju po tej wojnie, Rosja może skierować swoje coraz to wzrastające zdolności produkcyjne ku dobrom konsumpcyjnym.

Zmieniając pozycję na krześle dwa czy trzy razy. Zdawało mi się nawet, że usłyszałem westchnienie. Zmieniłem więc temat rozmowy.

— Przyjaźń narodu amerykańskiego do narodu rosyjskiego, być może, wywodzi się jeszcze z czasów naszej rewolucji, — powiedziałem. — W czasach tych autokraci europejscy nie chcieli utrzymywać stosunków handlowych ze Stanami Zjednoczonymi. Car rosyjski był pierwszym, który zaproponował nowemu krajowi handel.

Zdawało mi się, iż zauważyłem uśmiech na jego wargach, kiedy przerwał mi uwagę:

— Było tak, ponieważ przynosiło to carom pieniądze.

— Bądź co bądź, — powiedziałem, — długotrwała przyjaźń między naszymi narodami przyniosła nam wzajemne korzyści w przeszłości i wierzę, że stosunki handlowe między Rosją a Ameryką rozwiną się po tej wojnie.

— Depresję — przerwał, ciągle jeszcze nie patrząc na mnie — nacierają kraje kapitalistyczne po wszystkich wojnach. Będziecie mieli depresję i po tej.

— Nie koniecznie, — odpowiedziałem, — a przynajmniej nie wcześniej jak za kilka lat. Jeśli będziemy mieli odwagę, śmiałość plany i z całą energią wyzyskamy te wiadomości, które posiadamy obecnie, możemy uniknąć następnego kryzysu.

— Nie upieram się przy żadnych datach, — zauważył.

Złożył starannie swój papier i rozpoczął rysować nową figurę śmiały, zygawkowatymi liniami...

Rzuciłem okiem na jego ostatni rysunek.

Zdawało mi się, iż przedstawia on młodą, zrozpaczoną dziewczynę.

— Marszałku Stalinie, — powiedziałem, — z miejsca, na którym siedzę, rysunek ten zdaje się przedstawiać jakąś nieszczęsną dziewczynę. Kładł pan taki nacisk na depresję, chyba nie zamierzał pan narysować „Miss Ameryki”?

I wtedy po raz pierwszy spojrzał się na mnie, rzucił mi zdziwione, pełne uznania spojrzenie i naraz zaśmiał się niemal że nieśmiało:

— Nie, ja tylko tak sobie bawię się. Nie miałem zamiaru rysowania niczego specjalnego...

— Ile wykupowania dla ciężkiego przemysłu będziecie chcieli kupić w Stanach Zjednoczonych? — spytałem się.

— Każdą ilość — brzmiała jego odpowiedź — zależnie od tego, jak długoterminowego kredytu zechcecie nam udzielić. I będziemy płacić punktualnie za wszystko, zgodnie z paragrafami kontraktu.

— Należę do tych Amerykanów, — powiedziałem, — którzy wierzą w udzielenie Związkowi Sowieckiemu długoterminowych kredytów. Ale handel to droga o ruchu obustronnym i chciałbym wiedzieć, co też Rosjanie mogliby dać w zamian za amerykańskie towary.

Spojrzał na sufit, pogladził wasy i powiedział: — Mamy rozmaite surowce. Potrzebny wam jest mangan? Mamy go dużo. Możemy wam dać chrom, platynę, miedź, naftę, tungsten. Mamy wreszcie drzewo i miążgę drzewną oraz futra. A może będziecie chcieli złoto? Jesteśmy wielkim producentem złota i możemy zwiększyć naszą produkcję na wojnie.

Spojrzał na mnie drwiąco:

— Większość krajów kapitalistycznych potrzebuje złota.

— Nie jestem tak pewien — odpowiedziałem — tego, iż Stany Zjednoczone miałyby jakiś interes w nabywaniu nowych zapasów złota, po to tylko, aby je zakopać w skarbcu Fort Knox. Okoliczności zadecydują o tym, czy będziemy potrzebowali złota.

Marszałek sięgnął po amerykańskiego papierosa, mówiąc równocześnie:

— Sowiecka produkcja surowców na eksport do Stanów Zjednoczonych dostosuje się do tego, co Stanom Zjednoczonym będzie potrzebne. Możemy wam dostarczyć wszelkich ilości, jakich będziecie potrzebowali, jeśli będziemy mogli dostać maszyny do ich wyprodukowania. Oto dla czego potrzeba nam długoterminowych kredytów. Możemy dać sobie radę i bez nich, ale wtedy pójdzie to wolniej.

— Jeśli dostarczymy wam wielkiej ilości wszelkiego typu maszyn na warunkach długoterminowego kredytu, — odpowiedziałem, — ile czasu zajmie wam wypełnienie waszego programu uprzemysłowienia?

— Taki program — marszałek Stalin podkreślał wagę swego oświadczenia ruchami rąk — nigdy się nie skończy. Kraj nasz jest tak obszerny (więcej niż dwa i pół raza większy od Stanów Zjednoczonych), nasze zapotrzebowania tak wielkie, a nasz rozwój nędzny, że nie możemy przewidzieć żadnego terminu, kiedy będziemy mieli wszystkiego pod dostatkiem. Przed wojną były plany pięcioletnie i im więcej produkowaliśmy, tym bardziej wzrastały nasze potrzeby. Naszym pierwszym zadaniem po wojnie będzie odbudowanie zniszczonych terenów. Całe miasta zostały zrujnowane. Nawet fabryki, które obecnie pracują, będą musiały być zreorganizowane, ponieważ to, co produkują, produkują marnie.

¹⁾ Johnston w wstępie artykułu pisze, że Stalin w czasie rozmowy stale rysował jakieś figury.

BILANS WARSZAWY

Londyn, we wrześniu...

Bilans walk warszawskich będzie mógł być obiektywnie przedstawiony zapewne nie przedk. Trzeba będzie na to nie tylko czasu, który pozwoli rozwinąć się dymom nad domami stolicy, ale również takiej sytuacji politycznej, która pozwoli otworzyć tajne szuflady niektórych urzędów dyplomatycznych i zbadać teczek z wymownym napisem: W a r s z a w a, r o k 1944.

Historyk walk warszawskich będzie miał znacznie mniej kłopotów z opisem działań wojennych. Hojnie przelana krew polska, poświęcenie całej ludności, zniszczenie miasta, tragiczne wykrwawienie się stolicy Polski zajmie wiele kart nie tylko w naszej historii. Błoto polityczne z czasem opadnie samo, odsłaniając prawdziwą wielkość. Wierzymy, że tej nikt nie odmówi Warszawie. Już dzisiaj jesteśmy świadkami, jak zbankrutowała konspiracja milczenia i kampania umniejszania tamtejszych walk. Już nie ma w Anglii człowieka, czytającego dzienniki, któryby nie znalazł imienia generała Bora. Tak oto na naszych oczach, wbrew licznym przeszkodom, zwyciężyła prawda.

Powstanie wybuchło w chwili, kiedy sprawa polska stała się najdrażliwszym zagadnieniem polityki międzynarodowej; symbolem słusznosci tej wojny; miarą uczciwości tych, którzy przypisują sobie prawo rządzenia powojennym światem. Powstanie jak gdyby zmaterializowało sprawę polską i z płaszczyzny rozumowań teoretycznych przesunęło ją w realną sferę rozstrzygnięć praktycznych. Jest to kapitalna pozycja bilansu warszawskiego, pozycja, o której może nawet nie wiedzą ludzie, którzy, w chwili kiedy to piszemy, giną gdzieś na tamtejszych barykadach. Stworzyli oni swoim czynem jedyną okazję okazania tej dobrej woli, o której się tak wiele mówiło. Jak zaś było z tą okazją, wiemy. Warszawa otworzyła zatem oczy wielu.

Powstanie przekreśliło jednym energicznym ruchem liczne sztuczne koncepcje. Powstanie jest rzeczywistością, wobec której największy cynik nie może sięgnąć po fikcję, wysuwane w grze politycznej o stawkę polską. Stąd też nie było ono na rękę tym, którzy pragnęli, aby fikcją przeciwstawić tylko milczenie.

Kiedyś, przed wojną, na półkach księgarskich ukazała się książka pod wymownym tytułem: *Krzykcie Chiny!* Teraz krzyczała Warszawa! Jej wołanie było przejmujące, kazalo spojrzeć prawdzie w oczy, nakazywało szacunek, było ostrzeżeniem. Ale nade wszystko, czy zostało usłyszane?

Oceńmy sytuację z naszej, londyńskiej perspektywy.

Atmosfera, otaczająca zagadnienie polskie 1-go sierpnia, nie była najlepsza. Prasa angielska nie nabrała jeszcze tej pewności siebie, którą osiągnęła, w sześć tygodni później po paśmie wielkich zwycięstw na kontynencie, możemy już dostrzec. Istniała tendencja wywierania na nas wyraźnej presji w kierunku pogodzenia się z naszym losem, — kapitulacji, — jakbyśmy to sami prosicie nazwali. Każdy krok polskiej polityki oficjalnej, który mógł być interpretowany w ten właśnie sposób, był wityny przychylnie. Wiał się z tym jakiś optymizm i skłonność do upraszczania problemu polsko-rosyjskiego, do zamykania oczu na jego powagę i na jego światową doniosłość. W takim klimacie pragnie się raczej ciszy ze strony delikwenta. Jego milczenie jest cenne, jest wygodne. Nie, niech krzykiem protestu nie mobilizuje tych potencjalnych sił w świecie, które przecie istnieją, choć nie więdzie jeszcze koniunkturalnie zbudzone, choć nieśmiało jeszcze i nie pierwszoplanowe. Niech problem polski będzie problemem wewnętrznym, tylko polskim, to przecież ułatwi odsunięcie się od niego, skwitowanie go niczym.

Tej delikatnej grze sprzyjały względy czysto techniczne. Prasa angielska była zaabsorbowana własnymi sprawami. We Francji toczyła się przecież decydująca bitwa tej wojny. Sprzyjało to temu, co nazwalibyśmy konspiracją milczenia.

Pierwsze wiadomości z Warszawy były zbyt sensacyjne, żeby nie znaleźć się na łamach prasowych. Działalo tu zresztą zwykłe zaskoczenie. Na kontrofensywnie nie trzeba było jednak długo czekać. Rozpoczęła się akcja umniejszania i lekceważenia „awantury notorycznego generała Bora”. Oczywiście, żadne pismo angielskie nie poszło na lep tego rodzaju demagogii, ale zorientowano się, że powstanie nie jest popularne na wschodzie w takim stopniu, jak na przykład akcja francuskiej maquis w Anglii lub Ameryce.

Leży przede mną list pisany do mnie przez pewnego korespondenta poważnej gazety szwedzkiej. Przyjacieli mój dał się nabrać i kłabował stąd do swojej redakcji jeszcze miesiąc temu, że cała Warszawa to zwykły hubung. Dzisiaj zorientował się w swoim błędzie i za to przeprasza. Krzyk Warszawy był zbyt przejmujący, aby nie doszły go ten uczciwy człowiek.

Potem przyszła sprawa pozwolenia na lądowania lotnicze po stronie rosyjskiej. I tu strona przeciwna popełniła błąd kapitalny. Przeliczono się. Odmowa prawa lądowania była policzkiem wobec zwykłej ludzkiej uczciwości. „Nigdy jeszcze od roku 1941 — skarżył się komunistyczny *Daily Worker* — prasa angielska nie była tak antyrosyjska jak teraz”. Istotnie, wrzawa powstała poważna. Walki warszawskie, apele gen. Bora, wołania Polaków tutejszych przelamwały wreszcie skorupę obojętności. Bor stał się nazwiskiem głośnym, koncepcja zminimalizowania Warszawy zbankrutowała. Warszawa zwyciężyła. Konspiracja milczenia została przelamana. Kampania zlikwidowania sprawy polskiej w płaszczyźnie międzynarodowej znakomicie utrudniona. Oto co dała nam Warszawa.

Tyle w skali obcej.

Ale walka tamtejsza odniosła również sukces i wśród nas samych. Oto jak gdyby poderwała nas.

Czyż można bowiem działać skutecznie wówczas, kiedy się nie ma wiary, kiedy się zakłada, że z impasem naszego wyjścia żadnego nie ma. Naród, któremu tak często zarzuca się przesterz romantyzmu i brak realizmu politycznego, tu na londyńskiej emigracji zbyt dosłownie ostatnio zaczął wierzyć w prawdziwość tego paradoksu.

Tadeusz Zabłocki

KRONIKA FILMOWA

„MARIA CURIE”

„Maria Curie” jest opowieścią o miłości i pracy naukowej małżonków Curie, odkrywców radu, badaczy promieniotwórczości, laureatów Nobla. Dla nas film, popularyzujący tę niepopolitą parę, jest tym ciekawszy, że Maria Curie-Skłodowska dzieliła swe życie między Polskę a Francję, swą działalność społeczną między pomoc dla żołnierzy wielkiej wojny we Francji i pomoc dla chorych i biednych w Polsce. Polski Instytut Radiowy, nazwany jej imieniem, jej też zawdzięczał dobroczynny rad, a wielu pamięta jeszcze postać siwej, szczupłej pani, o spokojnym, poważnym wyrazie twarzy, zajmującej miejsce obok Prezydenta Rzplitej na uroczystości otwarcia Instytutu.

Scenariusz filmu powstał z przeróbki fragmentu książki biograficznej Ewy Curie, wspomnień, napisanych przez córkę o matce. Jeden z krytyków amerykańskich nazwał książkę najlepszą „*vie romancée*” — istotnie wyróżnia się ona prostotą, bezpośredniością, wielkim zbliżeniem czytelnika do opisywanej postaci, i tak już drogą naszym uczuciom, jeszcze dostrzeż, gdy poznajemy jej trudy, niedostatki, nadludzką niemal wytrzymałość w pracy, życie osobiste, zamknięte tragiczną śmiercią męża.

Toteż był obawa wobec filmu, że zbanalizuje i spłyci ów „romans nauki”, lub otoczy go fałszywym patosem, tak obcym naturalności Piotra i Marii Curie. Było tu jeszcze jedno niebezpieczeństwo: filmy biograficzne, usiłując przedstawić zbyt wiele, ogarnąć całe życie, rozpraszają w szczegółach swą akcję, tracą charakter dzieła dramatycznego i wpadają w podrabiany dokumentaryzm.

Ten obraz, opracowany przy współudziale głośnego autora, James'a Hiltona, uniknął obu błędów. Treść ograniczono do lat studenckich Marii Skłodowskiej i do okresu małżeństwa z Piotrem Curie, pokrywającego się z okresem pracy nad wyodrębnieniem nieznanej pierwiastka o niespotykanej dotąd sile promieniotwórczej. Oczywiście, Hollywood wycisnął na filmie swoje piętno, podkreślił momenty miłosne, szukał humoru, pozostawił jednak rzeczy najważniejsze: patos ofiarnej pracy i piękno współżycia ludzi, złączonych i wielkim utęciem, i wspólną twórczą działalnością. Być może, że tu intencją obrazu

było wskazanie, iż ani Maria, ani Piotr, pracując oddzielnie, nie doszliby do swego odkrycia. Lata zwątpień, tysiące prób, ciężka, dosłownie f i - z y c z n a praca w mroźnej ruderze, nieustanne zawody, rzeczywistość, ciągle mówiąca, iż są jakoby na błędnej drodze, nieufność świata naukowego do ich uporu, graniczącego z manią, z obsesją myślową — to wszystko mogłoby złamać jednego człowieka, ale nie dwoje ludzi, gdzie na zmianę jedno umacniało wiarę, gdy ją drugie traciło. „Maria Curie” jest więc obrazem najpiękniejszego związku ludzkiego i, doprawdy, ogarnia widów głębokie wzruszenie, płynące ze świadomości p r a d y tych dzieł, gdy nocą, w szopie laboratorium, po raz pierwszy zabłysło promieniowanie radu. Podobnie jak sprawy osobiste Marii Curie, została też uproszczona strona naukowa odkrycia i przedstawianie dróg, jakimi szła myśl małżonków Curie, jest czasem nieco naiwne — tym niemniej istota rzeczy została zachowana.

Całość otacza niezwykle czysta atmosfera życia ludzi, myślących o wiedzy, trwających — poprzez swą fizykę i chemię — raczej we wszechświecie, niż wśród walki ziemskich egoizmów. Poza głównymi bohaterami — pozostałe postacie filmu również należą do świata naukowego, co także składa się na ogólny nastrój obrazu.

Rolę tytułową gra Greer Garson. Pokazuje Marię Curie, jakiej nasze pokolenie prawie już nie pamięta: młodą i szczęśliwą. Jest może nieco za piękna, za mało szara i skromna, ale zato w zakończeniu odnajdujemy ascetyczną postać, mającą w sobie coś z kapłaństwa, kapłaństwa wiedzy i bezdogmatycznej religii humanitaryzmu. W sumie — niepospolita kreacja aktorska, przewyższająca nawet W. Pidgeon'a (Piotr Curie), który, świetny w sylwetce i grze, raz i niekiedy zbyt już konwencjonalnymi cechami uczonego: roztrzepaniem, oderwaniem od rzeczywistości, nieśmiałością i t. p.

Z polskiego punktu widzenia obraz ma ten brak, iż nie podkreśla stałego związku Marii Curie z jej pierwszą ojczyzną. Małżeństwo zostało przedstawione jako rezygnacja z powrotu do Polski, z odwiedzenia tak kochanego ojca, co niewątpliwie fałszuje postać bohatera.

Jan Martyka

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W chwili, kiedy słowa te idą na maszynę, kryzys gabinetowy w Rządzie Polskim trwa już piąty dzień. Nie ogłoszono jeszcze, a przynajmniej nie doszły do nas dotychczas, ani komentarze PATA, ani też oświadczenia oficjalne partii politycznych. W tej sytuacji możemy się ograniczyć tylko do zarejestrowania faktów.

Premier Mikołajczyk podał się do dymisji dn. 24 listopada. Komentarze obce łączą jego dymisję z dwoma faktami: po pierwsze, że z początkiem ubiegłego tygodnia ambasador Harri-man przywiózł mu list prez. Roosevelta, z oświadczeniem, że Stany Zjednoczone nie mają zamiaru gwarantowania ani zachodnich, ani wschodnich granic Polski; po drugie zaś, że na konferencji z przedstawicielami stronnictw politycznych, wchodzących w skład koalicji rządowej, p. Mikołajczyk zorientował się, że dla swojej polityki znajduje pełne poparcie tylko we własnym stronnictwie.

Nie wiemy, czy i w jakim stopniu odmowa prez. Roosevelta zaważyła na rozbieżności poglądów w łonie koalicji rządowej oraz nie mamy żadnych autorytatywnych informacji na temat tych kwestii, które wywołały kryzys. Wolno przypuszczać, że szło tu o kwestie taktyczne, a nie zasadnicze. P. Kwapiński bowiem, zaraz po przyjęciu misji tworzenia rządu, oświadczył, iż pierwszym punktem jego programu będzie „kontynuowanie linii politycznej rządów gen. Sikorskiego i premiera Mikołajczyka, której dali oni wyraz w swych urzędowych oświadczeniach”.

Sytuacja frontowa nie uległa w ciągu ostatnich dwóch tygodni większym zmianom. Poza jedną. Oto niemal że cała Alzacja została uwolniona na spod okupacji niemieckiej. Została uwolniona w łwiej części siłami francuskimi. W ten sposób Francuzi raz jeszcze zadokumentowali, jakie walory bojowe reprezentuje ich armia.

Zato na tym froncie, który jest militarnie najważniejszy, a który przebiega na wschód od Akwizgranu — mimo że komunikaty wojenne mówią o jednym z najzaciętszych walk, jakie toczyły się kiedykolwiek w tej wojnie, — zmiany terenowe są minimalne. Nie śpieszmy się jednak z wysuwaniem wniosków. Walki pod Caen przez długie tygodnie wyglądały na dreptanie w miejscu. A przecież zwycięstwo pod Caen zdecydowało w znacznej mierze o tym, kto wygrał kampanię francuską. Zresztą w warunkach klimatu europejskiego listopad jest najmniej odpowiednim miesiącem do prowadzenia operacji wojskowych na wielką skalę.

Z chwilą nadejścia zimy tempo walk napewno się zmieni. Niemcy sygnalizują już wielką koncentrację wojsk sowieckich zarówno w Prusach Wschodnich, jak i w rejonie Budapesztu. Tak samo nie nie świadczy o tym, jakoby zima miała być okresem ciszy na froncie zachodnim. Związka Anglikom musi zależeć na tym, aby niebezpieczeństwo zarówno latających bomb, jak i pocisków rakietowych, jak najszybciej odsunąć od wysp brytyjskich, i aby Niemcy, — jeśli przyjdzie im ochota na eksperymentowanie z V3, — wypróbowali tę broń już na innych, nie angielskich terytoriach.

Dlatego zima zapowiada ciężkie walki i wcale nie wyklucza możliwości ostatecznego pokonania Niemiec. Ale co potem? Nie tylko nad Polską zwiastają ciężkie chmury. Perspektywy pokoju w całej Europie wyglądają bardzo ponuro.

Jeśli jeszcze dwa czy trzy tygodnie temu wielu spośród nas — obserwatorów na boku i dość skąpo poinformowanych — mogło się wydawać, że w krajach uwolnionych na kontynencie europejskim spod okupacji niemieckiej przejęcie władzy przez prawowite rządy dokona się w sposób gładki i bez wstrząsów, to ostatnie doniesienia z Brukseli i z Grecji złudzenia te rozwiewają.

Powiedzmy sobie od razu, że złudzenia te były dość naiwne. Macaulay powiedział gdzieś, że gdyby reżimy tyranii można było obalać, nie popełniając przy tym „aktów okrucieństwa i szaleństwa”, automatycznie upadłaby połowa zarzutów, jakie przeciwko takim reżimom wysuwamy. Piszac te słowa, miał on na myśli wojny domowe, ściślej: rewolucję angielską XVII w., ale uwagi jego nie tracą nic ze swej słuszności w odniesieniu do procesu likwidowania obecnej okupacji wojskowej, zwłaszcza jeśli idzie o okupację tak tyrańską jak niemiecka, i z tak żelazną bezwzględnością, do jakiej tylko Niemcy są zdolni, łamiąc i nagiągając do swoich potrzeb istniejący ustroj społeczno-gospodarczy zajętych krajów.

Wiadomości z Brukseli mówią o rozruchach ulicznych, w których połała się krew. W Atenach — jak się zdaje — panuje spokój. Ale równocześnie dowiadujemy się, że w Macedonii, w rejonie Salonik, partyzanci spod znaku EAM nie tylko nie złożyli broni, ale zaarrestowali cały sztab urzędników, wyznaczonych przez rząd Papandreou do Salonik, i radykalnie rozprawiają się z ludźmi, podejrzany o kolaboracjonizm. Liczbę osób, rozstrzelanych przez nich, ocenia się na około 2.000. Otraskaliśmy się już z tak potwornie wielkimi cyframi ofiar okupacji niemieckiej, że cyfra ta prawdopodobnie nie zrobi większego wrażenia. Ale w warunkach rewolucji dobrodusznego wieku XIX cyfry takie wyglądałyby bardzo groźnie. Mówiliby wtedy, że w Grecji zalega terror.

Wiadomości o rozruchach w Brukseli i egzekucjach w Grecji są ciekawe nie tylko jako świadectwo stanu wrzenia na kontynencie oswobodzonej Europy. Oto bowiem okazuje się, że napięcie konfliktów jest najsilniejsze akurat w tych krajach, które mają szczególnie doniosłe znaczenie dla bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii i systemu jej morskich komunikacji.

Belgia jest dzisiaj bezpośrednim zapleczem frontu. Dowództwo alianckie uprzedziło frondujących ministrów belgijskich, że nie znieśie w Belgii rozruchów. Trudno się temu dziwić; żadna armia nie zniosłaby wojny domowej na tyłach frontu.

Ale i bez względu na wymagania wojny od dawna do aksjomatów brytyjskiej polityki zagranicznej należy zasada, iż dla bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii jest rzeczą podstawową, aby w Belgii panował reżim Anglii przychylny i aby Belgia nie znalazła się w zasięgu wpływów mocarstwa, które mogłoby z niej uczynić swoją bazę wypadową przeciwko wyspom brytyjskim. Świadomość tego jest w Anglii bardzo stara. Wyrażnie zarysowywała się ona już w czasie wojen z Ludwikiem XIV. Kiedy Bismarck zdecydował się na wojnę z Francją, głównym posunięciem dyplomatycznym przygotowania tej wojny było wydostanie od Napoleona III — pod pozorem zgody — planu zaboru Belgii. Kiedy potem wojska pruskie najechały Alzację, Bismarck plan ten ogłosił. Oburzenie w Anglii było tak wielkie, że zapewniono mu w woj-

nie życzliwą neutralność angielską. W r. 1914 złamanie przez Niemców neutralności Belgii było główną przyczyną przystąpienia Wielkiej Brytanii do wojny. Znakomity historyk angielski H. A. L. Fisher, mówiąc o nastrojach angielskich w r. 1914, tak je charakteryzuje: „Opinia angielska była jednak tak mało nastawiona na myśl o wojnie, że gdyby Niemcy nie najechali Belgii, — w gabinecie, parlamencie i w kraju byłby rozłam”. W obecnej zaś wojnie Niemcy robili wszystko co mogli, aby Anglików w sposób jak najwymowniejszy przekonać o znaczeniu belgijskiego i holenderskiego brzegu dla ich bezpieczeństwa. Tak więc — jak zresztą wszędzie — sprawy wewnętrzne w Belgii zahaczają o sprawy polityki zagranicznej i sytuacja jest tam bardzo delikatna. Anglikom niewątpliwie zależy na tym, aby nie stwarzać wrażenia ingerowania w wewnętrzne sprawy Belgii, i komuniści belgijscy mogą być spokojni, iż za swoją działalność nie pojadą na Hebrydy. Ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że Anglikom nie byłoby przyjemniej, gdyby rządy w Brukseli objęli komunistyczni patrioci.

W Grecji zaś sytuacja najgroźniejsza jest w prowincji, przylegającej do Bulgarii i do której Bułgarzy rościli sobie pretensje.

Sytuację wrzenia na europejskim kontynencie wywołuje energicznie niemiecka propaganda. I oto powstaje bardzo paradoksalna sytuacja: komuniści francuscy i belgijscy, a za nimi (czy przed nimi?) prasa moskiewska, krzyczą, iż rządy francuski i belgijski są zbyt mało energiczne w zwalczaniu kolaboracjonistów, elementów proniemieckich. I wrzenie, wywołane tak agitacją — to woda na młyn propagandy dra Goebbelsa.

Jest rzeczą wymowną, że prasa sowiecka wystąpiła z atakami na rządy de Gaulle'a i Pierlot'a, popierając pretensje do tych rządów partii komunistycznych z racji decyzji rozwiązania zbrojnych formacji partyzanckich. Fakt, że Komintern został przed trzema laty rozwiązany, niczego nie tłumaczy. A raczej tłumaczy sytuację pod tym względem, że polityka sowiecka wobec partii komunistycznych różnych krajów może być bardziej elastyczna, mniej skrupułowa względami doktrynalnymi. Zresztą nie krępowała się nimi zbyt i do dziś.

Przed wojną Rosjanie operowali tutaj pewną fikcją: że Komintern i władze rządu sowieckiego to dwa zupełnie niezależne od siebie ciała, że rząd sowiecki udzielił o prawdę Kominternowi u siebie gościny, ale nie może na jego posunięcia polityczne wpływać i za nie odpowiadać. Rozwiązując Komintern akurat w tym momencie, kiedy mógłby im być szczególnie niewygodny, bo mógłby puścić politykę dobrych stosunków z Wielką Brytanią i ze Stanami Zjednoczonymi, Rosjanie sami z fikcją tą rozprawali się w sposób bardzo bezceremonialny.

Taką samą fikcją jak niezależność Kominternu może być teraz jego nieistnienie. Najbardziej przekonującym dowodem dostarcza to samorozwiązanie się przed kilkoma miesiącami amerykańskiej partii komunistycznej. Rozwiązała się ona akurat w tym momencie, kiedy — zdawałoby się — perspektywy jej rozwoju na przyszłość wyglądały jak najroźnowiej. Partia komunistyczna w Stanach Zjednoczonych zawsze była partią niewielką i bez poważnych wpływów, ale jeżeli kiedy wpływy te mogła powiększyć, to właśnie teraz. Raz dlatego, że teraz jest wojna. Dla wszystkich zaś partii, które w założeniu swym mają przewrót społeczny, atmosfera wojny jest atmosferą najidealniejszą: wojna ma zawsze w sobie coś z przewrotu i zawsze przekreśla ten układ społeczny, jaki był przed nią, oczyszcza więc drogę dla radykalnych zmian. To jedno. Drugi atut to zwycięstwa sowieckie. Wzmogły one w świecie prestiż nie tylko ZSRR, ale i tego ustroju, na którym się ZSRR oparł: amerykańska partia komunistyczna mogłaby łatwo od tej popularności Rosji w pewnych kołach amerykańskich obcinać kupony. Ale właśnie dlatego była ona groźna dla zarówno Demokratów, jak i Republikanów, i właśnie dlatego mogła stanowić kamień zawady na drodze do poprawnych stosunków rosyjsko-amerykańskich.

I oto właśnie w takim momencie, na który — zdawałoby się — całe dziesięciolecie przyszedłoby jej czekać, amerykańska partia komunistyczna się rozwiązała. Rozwiązanie to przyszło wbrew jej najelementarniejszym interesom. Ale jest ono bardzo na rękę dla amerykańskiego ciężkiego przemysłu, który już dzisiaj prowadzi z Rosjanami ożywione rokowania na temat wielkich wojennych dostaw amerykańskich dla Rosji: Rosjanom są one potrzebne, aby odbudować kraj po straszliwych zniszczeniach wojny. Amerykanom — aby usunąć z horyzontu Stanów Zjednoczonych widmo bezrobocia, gdy skończą się gigantyczne dostawy wojenne.

Na kontynencie europejskim jednak partie komunistyczne nie mają wcale tendencji do unicestwienia się. Przeciwnie, są one bardzo aktywne i gorliwie jedną sobie prozelitów: w jednym państwach — np. we Francji i we Włoszech — mogą one być gwarantami przyjaznej polityki tych państw wobec ZSRR, gdzie indziej, np. w Persji i w Grecji, mogą być poważnym atutem w rozgrywkach dyplomatycznych i środkiem presji na pozostałych partnerów. Wcale nie jest rzeczą wykluczoną, że w tych krajach w pewnym momencie partie komunistyczne dokonają — na wzór amerykański — harakiri. Ale ktoś za to będzie płacił. Tymczasem jednak we wszystkich państwach kontynentu europejskiego szybko wrastają one w siły.

Państwa anglosaskie są tym stanem rzeczy wyraźnie zaniepokojone. Starają się one za wszelką cenę utrzymać istniejące rządy koalicyjne. Czyni się wszelkie próby, aby utrzymać koalicję rządu Bonomio. Mimo bardzo napiętej sytuacji w Belgii, rząd premiera Pierlot utrzymał się i nie wydaje się, aby mógł w najbliższej przyszłości upaść. Tak długo, jak długo na kontynencie europejskim walczą wojska anglo-amerykańskie, koalicje te pozostaną najprawdopodobniej u władzy. Ale — rzecz prosta — nie jest to jeszcze rozwiązanie problemu, tak jak leczenie objawowe nie jest jeszcze usunięciem procesu chorobowego.

Na najgroźniejszy objaw tego procesu chorobowego wskazał premier Pierlot w swym wywiadzie prasowym: w Belgii jest głód, dostawy żywności do kraju są ze względu na przeciążenie portów transportami sprzętu wojennego bardzo niedostateczne. Podobnie we Włoszech sytuacja aprowizacyjna to doraźnie najprzykrejsze, ale nie jedyny z rezultatów tego, że alianci nie posiadają planów odbudowy gospodarczej Europy. Bez takiego zaś planu żadne zwycięstwo — nawet wtedy gdy trzej zwycięzcy spotkają się pod Bran-denburger Tor — nie będzie zupełne. I bez takiego planu nie ma trwałego pokoju w Europie,

i nie ma rozładowania tych wielkich napięć politycznych, jakie dziś we wszystkich tych krajach, wyzwanych spod okupacji państw Osi, istnieją. Taki plan powinien państwa anglosaskie kosztować — i politycznie i gospodarczo — dużo taniej od utrzymywania garnizonów wojskowych na kontynencie europejskim. Ale planu tego nie ma. Co więcej, niepowodzenie międzynarodowej konferencji w Chicago w sprawie zorganizowania po wojnie lotnictwa cywilnego, gdzie jeden z wielkich partnerów się absentował (bo tych rezultatów, jakie osiągnięto, nie można inaczej określić jak jako niepowodzenie), źle wróży możliwościom stworzenia tego planu. Bez niego zaś napięcia polityczne w zrujnowanej wojną, rozproszkowanej i zanarchizowanej Europie będą wzrastać. A wraz z nimi będą wzrastać i wpływy partii komunistycznych na kontynencie europejskim. I co za tym idzie — wpływ ich mocodawcy.

Tymczasem rozproszkowanie polityczne Europy stwarza wraz ze zwycięstwami na froncie wschodnim dla ZSRR zupełnie wyjątkową sytuację, z której też ZSRR stara się wyciągnąć tyle korzyści, ile się tylko da. Stara się więc przede wszystkim wyjść z tej wojny jako wielki producent nafty. Istniejące w Rosji pola naftowe — głównie kaukaskie — aż nadto wystarczały na jej własne potrzeby. Teraz zaś Rosjanie energicznie upominają się o nowe koncesje. I uważają za swoją zdobycz wojenną rumuńskie koncesje naftowe w Ploesti. Kapitalistom angielskim i amerykańskim, którzy chcieli się tam udać, odmówiono wiz wjazdowych, tłumacząc, że Ploesti to sfera przyfrontowa. Wystarczy spojrzeć na mapę, aby stwierdzić, że w Rosji wszystko, nawet sfera przyfrontowa, urasta do rozmiarów gigantycznych: ostatecznie od Ploesti do frontu jest dzisiaj co najmniej trzysta kilometrów.

Rosjanie prowadzą jednak politykę na dalszą metę. Zapasy nafty, będące w posiadaniu amerykańskim, wyczerpują się w bardzo szybkim tempie, wywołując w Stanach Zjednoczonych duże zaniepokojenie. Próby opanowania przez kapitał amerykański nafty (Bliskiego Wschodu) skończyły się niepowodzeniem. W tych warunkach nafta może się okazać na rynku amerykańskim bardzo dobrą walutą. Przyjacielskie usługi w rodzaju rozwiązania amerykańskiej partii komunistycznej mogą stworzyć dla amerykańskorosyjskiego handlu odpowiednio przyjazną atmosferę. Ale atmosfera sama nie wystarczy. Za sprawą Rosji amerykańskie obrabiarki, traktory czy motory elektryczne trzeba będzie przecież płacić. Ktoś zaś chciał protestować, podnosząc, że w ten sposób znaczny procent kosztów odbudowy ZSRR spadnie na Rumunię i na Persję, ten zdradzałby dużą polityczną naiwność. Ostatecznie, ten najlepszy ze wszystkich światów jest tak urządzony, że za wszystko ktoś musi płacić.

29.XI.1944 r.

WW.

Książki nadesłane do Redakcji

Technique et reconstruction. Par le lieutenant-colonel Antoine. Problèmes Français. Troisième Série. No. 10. Bejrut, 1944. Str. 48.

Kazimierz Brodziński. Wybór pism. Opracował Ignacy Chrzanowski. Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, tom 59. Jerozolima, M. W. R. i O. P., 1944. Str. 88.

Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences in America. Issued quarterly by Polski Instytut Naukowy w Ameryce, Polish Institute of Arts and Sciences in America. Vol. I, No. 2, January 1943. Str. 177—409. — Vol. I, No. 3, April 1943. Str. 410—672. — Vol. I, No. 4, July 1943. Str. 673—1064. — Vol. II, No. 1, October 1943. Str. 264. — Vol. II, No. 2, January 1944. Str. 265—592. — Vol. II, No. 3, April 1944. Str. 593—896. — Vol. II, No. 4, July 1944. Str. 897—1224.

Jan Kasprowicz. Wybór poezji. Opracowała Lucja Pinczewska. Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, tom 57. Jerozolima, M. W. R. i O. P., 1944. Str. 190.

Hector Klat. Le service de la patrie. Le patrimoine spirituel. Conférence donnée à la 5e Semaine Sociale de Beyrouth. Bejrut, 1944. Str. 28.

The White Ruthenian Problem in Eastern Europe. By Dr Jozef Lichtensztul. Reprinted from the Quarterly Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences in America, July, 1944. Str. 28.

Kornel Makuszyński. Skrzydlaty chłopiec. Powieść lotnicza dla młodzieży. Wydanie trzecie. Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, tom 56. Jerozolima, M. W. R. i O. P., 1944. Str. 181.

Armistice and Germany's Food Supply, 1918-19. A study of Conditional Surrender. By Bernhard Menne. Foreword by Charles Jarman. Translated from the German by Ed. Fitzgerald. A Fight for Freedom Publication. Londyn, Hutchinson & Co., 1944. Str. 96.

Paris et son Peuple (Album z Wystawy). Bez miejsca i roku. Stron nieliczbowanych 54.

Maria Petry. Struny. Okładkę projektował art. graf. J. Kowalewski. Jerozolima, Autor, 1944. Str. 80.

Władysław St. Reymont. Ziemia obiecana. Powieść współczesna. Wydanie VI. Tom I—II. Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, tomy 51 i 52. Jerozolima, M.W.R. i O.P., 1944. Str. 336 (I) i 309 (II).

Aleksander Schorr. Egga van Haardt. Próba syntezy. Jerozolima, 1944. Str. nłb. 24 i reprodukcji na wkłękach 16.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

"FIVE YEARS OF POLAND'S RESISTANCE"



Dn. 22 listopada b. r. została otwarta w gmachu Y.M.C.A. w Jerozolimie, wystawa p. n. „Pięć lat polskiego oporu”. Dajemy tu reprodukcje dwóch stoisk.